

ROLA

Rok VI.
Kraków, dnia 25 sierpnia 1912 r.
Nr. 34.

TYGODNIK OBRAZKOWY NIEPOLITYCZNY KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Przedpłata: Rocznie w Austryi 4 korony, półrocznie 2 korony; — do Niemiec 5 marek; — do Francyi 7 franków; — do Ameryki 2 dolary. — Ogłoszenia po 30 halerzy za wiersz jednoszpaltowy. — Numer pojedynczy 10 halerzy; do nabycia w księgarniach i na większych dworcach kolejowych. — Adres na listy do Redakcyi i Administracyi: **Kraków, ulica św. Tomasza L. 32.** Listów nieopłaconych nie przyjmuje się. Godziny redakcyjne codziennie od godz. 5 do 6. Telefon nr. 2346.

Powodzenie w życiu.

Czy powodzenie w życiu, pomyślność, zależą od przypadku? Czy szczęście nasze wkłada nam już do kołyski dobry anioł? Bynajmniej. Ono od nas samych, od dzielności naszego charakteru zależy. Już łacińskie przysłowie powiada: »każdy jest budowniczym swego losu«.

Największym wrogiem każdego człowieka są jego wady własne i namiętności. Dlatego trzeba je mężnie zwalczać, a kto tego dokona, ten osiągnie powodzenie w życiu.

Pamiętać powinniśmy o tem, że przeciwności, jakie napotykamy w życiu, istnieją po to, ażebyśmy się uczyli pokonywać je, a przez to rozwijać te zalety, których nam wciąż jeszcze niestety bardzo brak, jak: cierpliwość, punktualność, słowność i t. p. Człowiekowi zdaje się nieraz, że wszystko sprzysięgło się przeciw niemu, gdy w rzeczywistości wszystko jest po to, aby mu pomagać do osiągnięcia ostatecznego celu. Obowiązkiem więc człowieka jest zrozumieć ten plan Boży.

Kto żyje nad stan swego majątku, swoich dochodów lub swego zdrowia, ten popełnia lekkomyślność, która powoduje szereg przykrych następstw. Gdy wydatki są wyższe od dochodów, gdy kredyt jest nadmiernie obciążony, wtedy nastąpić musi przesilenie i kara. Bo człowiek nie powinien przerastać własnej siły. Kto ze swej siły życiowej wydaje więcej, niż go stać na to, ulegnie karze i to nietylko on sam, lecz i wszyscy ci, którzy od niego zależą, a więc żona i dzieci.

Najniebezpieczniejszą rzecza, utrudniającą a nawet uniemożliwiającą powodzenie w życiu jest gadulstwo. Dlatego ludzie, którym się powodzi, milczą o swoich zamiarach. Jeżeli jednak zachodzi potrzeba wtajemniczenia drugich w nasze plany, winniśmy to czynić jedynie z tym z góry postanowionym zamiarem, aby zasięgnąć tylko zdania ludzi doświadczonych, o których wiemy, że są nam życzliwi i nie zdradzą nas. Gadulstwo ma także tę złą stronę, że osłabia energię. Kto dużo gada ten mało działa. Kto nie umie panować nad swoim językiem, ten nie będzie miał powodzenia w życiu.

Co się zyskuje przez patrzenie i słuchanie, jest wiele więcej wartem niż to, co się zyskuje przez mówienie. Nie zawsze trzeba mówić, co się wie, ale zawsze trzeba wiedzieć, co się mówi.

Nic tak nie czyni człowieka starym i niedołężnym, jak nienawiść, nic tak nie wywołuje brzydkich zmarszczek jak zazdrość, nic tak nie skrzywia rysów twarzy, jak ciągłe wzruszenia niespokojnego sumienia. Na każdej zmarszczce napisane jest odpowiednie uczucie.

O tem także pamiętać należy, że każdą pracę rozpoczynać trzeba z wiarą w pomoc Bożą i siebie samego. Bez wiary bowiem niema powodzenia. Gdybyśmy bowiem rozpoczynali, nawet może i nietrudną rzecz, z tem przeświadczeniem, że jej wykonać nie zdołamy, lub że trudności, które staną naszym dążeniom na przeszkodzie, nie przezwyciężymy, wtedy rzecz może i łatwa stałaby się dla nas trudną, a praca nasza nie osiągnęłaby tego celu, do którego dążymy. Gdy jednak do rzeczy, nieraz niewykonalnej napozór, zabierzemy się z tem silnem przekonaniem, że starania nasze i trudy musi uwieńczyć pomyślny skutek, wtedy jakoś dziwnie przeszkody znikają, a my ze zdziwieniem spostrzegamy się u celu naszych marzeń. Taka wytrwałość i głębokie przeświadczenie o możliwości ukończenia naszych przedsięwzięć ułatwia nam je ogromnie i zbliża cel naszych usiłowań. — Praca więc wytrwała, połączona z silną, niezachwianą wiarą, przynosi powodzenie w życiu. Nie należy zatem nigdy poddawać się beznadziejności, nie należy rąk opuszczać, lecz przeżegnawszy się krzyżem św. z otuchą brać się do każdej pracy, a ta z pewnością się powiedzie.

Ant. St. Bassara.

PRZEZ POGROM.

Opowieść z Wielkiej Wojny w 1812 r.

ROZDZIAŁ XIV.

Na zawsze razem.

Marysia zasnęła tak twardo, że nie zbudził jej ani dźwięk dzwonka, ani szczekanie psów, pędzących za mknącemi saniami.

W saniach siedział jakiś pan, zawinięty w futro baranie. Konie, pomimo zasp śnieżnych, mknęły szybko i wkrótce zrównały się z śpiącą Marysią. Spłoszone ciemną plamą na białem tle odskoczyły w bok tak, że sanie przechyliły się, a jadący wpadł w miękką zaspę. Psy tymczasem przyskoczyły ku Marysi i poczęły ujadać. Dziewczyna zasnęła jednak tak silnie, że nie zbudziło jej nawet głośne szczekanie.

Wygramolił się pan z zaspy i miał siadać na sanie, gdy woźnica zwrócił mu uwagę na śpiącą Marysię.

— Ta czort jego bierz! — obruszył się pan. — Zachciało się Francuzom Moskwy, to niech teraz zdychają.

— To nie Francuz — odparł woznica — to niewiasta jakowaś i do tego żywa.

— Niewiasta? — zapytał ze zdziwieniem pan i przybliżył się ku Marysi.

— Takoj, tak! — dodał po chwili — i do tego nietutejsza!

Poczem ujął dziewczynę za ramię i począł budzić. Otwarła Marysia oczy, popatrzyła przed siebie bezmyślnie i zamknęła je z powrotem.

— Iwan! a bierz ją na sanie — rzekł pan wzruszony wyglądem Marysi. — Niewiasta to, pomoc jej dać trzeba.

Jakoż Iwan, posłuszny rozkazowi, uniósł lekko dziewczynę z ziemi i usadowił na saniach. Okrywszy ją derami, ruszono co żywo dalej.

Droga nie trwała długo, gdyż o jakie dwie wiorsty ukazał się dwór, przed który zajechali podróżni.

Zniesiono ostrożnie Marysię do ciepłej izby ułożono na tapczanie, nie budząc jej wcale.

Przespała dziewczyna noc całą i połowę dnia następnego. Dopiero około południa otwarła znużone oczy i spostrzegła przy sobie starą kobietę, drzemiącą w najlepsze. Ta jednak, zbudzona poruszeniem Marysi, zerwała się prędko i wyszła tak niespodzianie, że biedna dziewczyna ani zapytać się nie miała czasu, skąd się tu wzięła.

Niedługo jednak wszedł do izby pan ów, który przywiózł Marysię, a za nim trzy niewiasty, zapewne żona i dwie córki.

Wkrótce Marysia opowiedziała swoje przygody, dowiedziawszy się nawzajem, że znajduje się w domu Pawła Iwanowicza Markowa, właściciela wsi Zamarskoje z przyległościami.

Markow w młodych latach podróżował wiele, zwiedził Paryż, Berlin, Wiedeń, a w Warszawie przeszło dwa lata przebywał, wobec czego władał nieźle językiem polskim. Wskutek tego rozumiał dobrze opowiadanie Marysi, będąc sam przez nią dokładnie rozumiany.

W czasie rozmowy córki Markowa, Parasia i Ksenia, przyniosły dla Marysi ciepły posiłek i przysłuchiwały się z zajęciem opowiadaniu dziewczyny. Młode serce prędzej odczuje niedolę bliźniego, to też od czasu do czasu niebieskie oczka panienek od łez wilgotniały.

Sam Markow słuchał z zajęciem i patrzył z podziwem na bohaterską dziewczynę polską. A gdy ta skończyła opowiadanie, rzekł:

— Tobie nie iść dalej, kochanie. Wśród śniegów śmierć ciebie czeka! Wracać ci trzeba do swoich, tam prędzej z narzeczonym się spotkasz.

— Nie, dobrodzieju — odpowiadała Marysia — samej mi nijak wracać. Czuję to, że Walek jeszcze nie minął tych stron i że pomocną być mu mogę. Wrócę albo z nim, albo nie wrócę wcale.

Powiadają, że na upór nie ma lekarstwa. Musiał więc i Markow ustąpić wobec uporu dziewczyny. Zdołał ją tylko nakłonić do pozostania w Zamarskoje przez czas pewien, aby nieco odpoczęła i stąd mogła śledzić powrót wojsk napoleońskich.

Odtąd co dnia wychodziła zaraz rano z dworu Markowa, przebiegała całą okolicę, wypatrując pilnie, czy gdzie Walka nie zobaczy. Wieczorem dopiero wracała do ciepłej izdebki poczciwego Moskala i opowiadała wrażenia dnia całego.

A wrażeń tych było coraz więcej, coraz straszniejsze. Jak duchów korowody przeciągały niedobitki armii Napoleona. Twarze wybladłe, zarośnięte gęsto włosem, poczerniałe od mrozu i głodu, strachem przejmowały. Ludzie ci, pokryci łachmanami, na pół bosi, podobniejsi byli raczej do upiorów, aniżeli do niedawnych żołnierzy. A gdzie przeszli, zostawiali za sobą martwych towarzyszy, by jakie śmiertelne drogowskazy. Na pół żywi szli, trzymając się zdala od wsi i miasteczek, bo tu bandy moskiewskiego chłopstwa napadały na niedobitków i kołami a pałami pozbawiały życia.

Wielu wracało z pogromu, ale Walka między nimi nie było.

Walek z Rawiczem, zaniósłszy Zaklikę do wozów i oddawszy go pod opiekę dozorującego maruderów, zawrócili ku batalionowi Rutkowskiego. Przyspieszali kroku, aby zdążyć na czas, lecz czy drogę zmylili, czy co innego zaszło, dość, że batalionu nigdzie odszukać nie mogli.

Krążyli czas długi, a tem samem coraz bardziej zostawali w tyle poza resztkami armii. Poznali w końcu, że o połączeniu się z oddziałem nie ma co myśleć, a tylko o własne ocalenie starać się trzeba.

Podążyli więc co żywo za śladami, które świeżo pozostawiły przechodzące oddziały wojsk. Pomimo zmęczenia przyśpieszali kroku w tej nadziei, że, czy wcześniej, czy później, dopędzą jakiś większy oddział wojska i z nim naprzód podążą.

Niestety, przypuszczenia ich okazywały się zwodnicze, bo jak daleko okiem sięgnąć zdołali, nic nie wróżyło, aby gdzie w pobliżu mógł znajdować się jaki oddział. Zostali poza niedobitkami armii co najmniej o jaki dzień drogi.

Całem szczęściem dla nich były trupy zmarzniętych żołnierzy, bo te wskazywały im drogę, którą iść trzeba było. Początkowo za każdego zmarłego odmawiali półgłosem pacierze, ale później i na pacierze czasu zabrakło, a jeno »Wieczne odpoczywanie!« zdążały ich usta wyszeptać.

— Szczęśliwi — szeptał w takich razach Rawicz — ich niedola już się skończyła, a kres nasz nie wiedzieć kiedy przyjdzie.

Walek nie mówił nic, ale czuł, że nie masz dla nich ocalenia! Tem goręcej więc polecał duszę swą Bogu, prosił o szczęście dla Marysi i w myślach żegnał wszystko to, co w życiu miał najdroższego.

A Rawicz mówił;

— Za nami trupy, przed nami trupy, a wokoło śnieg, mróz i śmierć. Ciała nasze będą pokarmem

wilków, a dusze nasze pójdą bez modlitwy przed tron Najwyższego. Psia dola! Zatracone życie.

Mijał dzień za dniem takiej podróży, jeden podobny do drugiego, ale każdy uciążliwszy, a nadziei ocalenia znikąd dojrzeć nie można było.

Walek, sam znużony ogromnie, musiał co trochę wspierać ramieniem Rawicza, który już ledwie wlókł nogi za sobą.

— Poniechaj mnie, Walku — mówił wtedy Rawicz — dla mnie nie masz ratunku, śmierć mi pisana... O sobie myśl, bo zginę ja, ale i ty ze mną.

— Cóż znowu? Bóg łaskawy i ten nas nie opuści — próbował tłómaczyć Walek, choć czuł, że zguba niechybna wisi nad nimi.

Z każdą chwilą nadzieja ocalenia malała coraz bardziej, a Rawicz coraz częściej poczynał utykać i padać na śnieg biały. Pomagał mu wstawać Walek, ale chyba po to tylko, aby znów po kilku chwilach zobaczyć go padającego.

— Usiądźmy trochę, odpocznijmy, a potem pójdziemy dalej — prosił Rawicz i nie czekając pozwolenia, osunął się na ziemię. Chciał go Walek podnieść, lecz było zapóźno. Skurcz śmiertelny wstrząsnął raz i drugi ciałem Rawicza i uwolnił go od cierpień na zawsze. Paraliż śmiertelny położył kres jego życiu.

W czasie smutnego odwrotu wypadków takich było setki: kto zmęczony siadał na śniegu dla odpoczynku, padał na miejscu tknięty paraliżem.

Walek pozostał teraz sam. Z oczu popłynęły mu łzy strumieniem. Zdjął z głowy czapkę i, przestępując z nogi na nogę, począł odmawiać pacierze za duszę ostatniego towarzysza. Odmówiwszy »Wieczne odpoczywanie«, okrył ciało Rawicza płaszczem, nagarnął nań śniegu i ruszył dalej wolnym krokiem.

Czuł, że niedługo połączy się z Rawiczem. Umysł jego począł stawać się na wszystko obojętny, a nogi z każdą chwilą odmawiały bardziej posłuszeństwa.

Upadł raz i drugi, a nie było nikogo, aby mu podał pomocną rękę. Dźwigał się więc sam i szedł dalej. Ale coraz częściej przychodziła mu na myśl śmierć Rawicza i pragnienie, aby i on co rychlej usiadł na tym białym śniegu i zakończył swój ciężki żywot.

Ale w tej chwili otrząsał się z niedobrych myśli. Wszak dobrowolna śmierć byłaby niejako samobójstwem, a samobójstwo Bóg ciężko karze. Postanowił więc bronić się do ostatniej chwili.

A chwila ta zbliżała się coraz szybciej. Upadki powtarzały się coraz częściej, a dźwiganie się z nich przychodziło coraz trudniej.

Aby umysł swój czemś zająć, począł liczyć, ile razy od chwili pożegnania Rawicza padł na ziemię. Naliczył piętnaście.

— Do trzydziestu nie strzymam — wyrzekł i znów padł na ziemię.

— Szesnaście — wyszeptał i podniósł wzrok, jakby szukając, w którem miejscu przyjdzie kolej na trzydziestkę.

W tem wzrok jego padł na postać szybko idącą ku niemu. Oczom własnym nie chciał wierzyć, gdy w idącej rozpoznał Marysię.

— Jezus, Marya! Maryśka! — wykrzyknął głosem pełnym radości.

— Walku! — zawołało dziewczę i rzuciło się ku niemu. Ale Walek nie odpowiedział nic, lecz, jak dąb podcięty, runął na ziemię, Niedola nie mogła zmódz chłopa polskiego — szczęście resztkę sił mu odebrało.

Poczęła Marysia dźwigać z ziemi umiłowanego. Rozpacz, że tego, którego w tej chwili odzyskała, może utracić na zawsze, podwajała jej siły.

Ostatnim wysiłkiem wlokła Walka za sobą, ani na chwilę nie spoczywając, póki nie znalazła się w pobliżu dworku Markówa. Tu na jej krzyk wybiegła służba i pomogła jej wnieść Walka do ciepłej izby.

Sam Markow przy pomocy niewiast i służby zajął się cuceniem omdlałego Walka. Jakoż po długiej chwili udało się usiłowania uwieńczyć pomyślnym skutkiem.

Otwarł Walek oczy i spoczął niemi na ukochanej Marysi. Chciał coś rzec, ruszał wargami, ale usta nie wydały żadnego głosu. Poczem zamknął powieki i zasnął snem twardym.

Marysia wtedy padła na kolana i jęła się modlić gorąco:

— Boże! dzięki Ci za wszystko! Jam niegodna tej łaski, jaką mi dajesz, dlatego tem goręcej Ci dziękuję.

Klęczała długo i modliła się, a twarzyczka jej promieniała cała nadziemską radością. Godziny mijały, a ona klęczała i dziękowała Bogu za to szczęście, jakiem ją w tej chwili obdarzył.

Poruszył się śpiący, więc Marysia porwała się z klęczek i przypadła ku niemu. Otwarł Walek oczy, a zoczywszy umiłowaną, zawołał bez trudu:

— Maryśka! ty tu!?...

— Tak, Walku, ja tu, przy tobie — odrzekło uszczęśliwione dziewczę.

— Przy tobie na zawsze, na wieki! — dodała.

A Walek zerwał się z łoża, ujął rączki Maryni i, szepcąc:

— Moja ty na wieki, na wieki, o Jezu! — całował je tak serdecznie, jak to czynią panowie po dworach.

ZAKOŃCZENIE.

Poczciwy Markow, wzruszony przygodami Marysi, nie puścił z swego domu młodej pary, póki nie odzyskała zupełnie sił. Gdy to nastąpi, ofiarował się sam odwieść ich aż do Wolicy.

Wzruszeni do łez, dziękowali młodzi poczciwemu Moskalowi i po dwóch tygodniach wyruszyli w drogę.

Radość rodziców Marysi po jej przybyciu do domu była nie do opisania. Starzy, którzy uważali już dziewczynę za straconą, ściskali ją i całowali, napatrzeć jej się nie mogąc. Gdy się nacieszono dowoli, począł ją Konopka burczeć:

— Czy się to godziło rzucać starych bez słowa pożegnania, a lecieć za chłopakiem w świat, jakby to innych mało było w Wolicy.

— Tatusiu złoty — odpowiadała na to Marysia — było ich dość, ale żaden nie był mi tak drogi, jak ten oto Walek.

A Walek przypadł do jego rąk i prosił:

— Nie gniewajcie się, panie ojcze, już my was teraz nigdy nie opuścimy, jeżeli się nam pobrać pozwolicie.

— A jak nie pozwolę, to co? — droczył się Konopka.

— To póty będziemy prosić, aż zmiękniecie i nie odmówicie — odpowiedział Walek.

— A jakże. Teraz bym ci jej bronił. Myślisz, żeby ją kto inny po tem wszystkiem chciał — przekomarzał się Konopka.

Nie odpowiadali nic na to młodzi, ale z figlarnego uśmiechu Marysi znać było, że ta nie wątpi, iżby się wielu takich znalazło, którzyby ją chcieli.

Na wieść o powrocie Marysi i Walka wieś cała zbiegła się do chaty Konopków, aby przybyłych powitać, a potem, jak to zwykle bywa w takich razach, po sąsiedzku obmówić.

Markow zabawił u Konopki całe dwa dni, poczem wyruszył do Sandomierza, gdzie miał jakieś ważne sprawy familijne.

Ślub postanowiono odłożyć do wiosny, gdyż Marysia chciała poprosić na niego dobroczyńcę Słu-

gockiego, a na druchnę Zosię, towarzyszkę podróży przy odwrocie z Moskwy. Walek zaś pragnął, aby świadkiem jego szczęścia był towarzysz broni, Zaklika, który, jeżeli nie zginął w drodze powrotnej, jeden pozostał przy życiu z sześciu towarzyszy, jakich Walek spotkał na początku swej ciężkiej tułaczki. Trzeba było ich przed tem uwiadomić, na wesele poprosić, a nie była to rzecz łatwa z powodu zbytniej odległości.

Walek tymczasem zabrał się do gospodarstwa, do oporządzenia chaty i przysposobienia wszystkiego, aby Marysia, gdy żoną jego zostanie, nie potrzebowała się o nic troszczyć, Marysia zaś stroiła sobie wyprawę na nowe gospodarstwo.

Mijały szybko tygodnie i nadszedł post a z nim przybyła do Wolicy wesoła wiadomość w postaci listu od Zakliki.

Ucieszył się Walek niezmiernie, że choć jeden z jego prawdziwych przyjaciół uszedł cało z pogromu.

W ciągu dalszym listu donosił Zaklika, iż po długiem wywiadywaniu się zdołał odszukać Zosię w jednym z okolicznych dworów, gdzie ta przyjęła miejsce pokojówki. Oczywiście, że zabrał ją stamtąd i umieścił u starej ciotki, mieszkającej nieopodal Zakliki. Zaklika chciał ją do siebie zabrać na zawsze, ale Zosia nie chciała zgodzić się na ślub, póki rodziców swych nie odnajdzie.

— Kocham waćpana — mówiła — i niczyją żoną nie będę, tylko waćpanową, ale wtedy dopiero, gdy rodzicieli moich odszukam.

— Co pannie po rodzicach, gdy ma męża — oburzał się Zaklika, ale zgodzić się musiał, bo dziewczyna ustąpić nie chciała.

Pismo Zakliki przypomniało Walkowi, że czas jego wesela się zbliża i że trzeba wysłać zaproszenie do Sługockiego, Zosi i Zakliki. Jakoż zabrał się zaraz do pracy i po tygodniu trzy pisma były gotowe. Zmęczył się chłopczysko, ale wypisał takie wspaniałe listy, żeby je nawet sam ksiądz proboszcz mógł czytać.

Minął post i kwiecień dobiegał ku końcowi, gdy ksiądz w miejscowym kościele ogłosił pierwszą zapowiedź Walka z Marysią.

Wesele zapowiadało się huczne, gdyż Konopka przysposobił się na nie statecznie, zwłaszcza że mieli przyjechać goście z dalekich stron i to państwo do tego.

Jakoż na trzy dni przed ślubem zajechała na obejście Konopki czterokonna karoca, z której wysiadł znany nam Sługocki. Rzuciła się Marysia do rąk jego i całowała je, by ojcu drugiemu. Skłonił się przed przybyłym Konopka, przypadł mu do nóg Walek, a Sługocki ściskał im ręce, zaś zwracając się do Marysi, prawił:

— Zuch z ciebie, kociaku, zuch mociumdzieju! Ale widząc kawalera, nie dziwię się, że cię taka oskoma na niego brała.

Walek aże poskraśaiał ze szczęścia i radości.

W samą wigilię ślubu przybył Zaklika z matką i Zosia z ciotką Zakliki.

Tak Marysia jak i Walek nie posiadali się z radości, że ci kochani przez nich nie pogardzili ich niskimi progami, ale zdaleka jechali, aby im taką uciechę sprawić.

Gdy Walek wypowiedział powód swej radości głośno, oburzył się na to Zaklika i rzekł:

— Nie niższym jesteś odemnie, Walku, ale równym a nawet wyższym, boś dobrodziejem moim: tyś mi życie ocalił.

Wesele, jak to można było przypuszczać, było huczne i wspaniałe. Prawie cała wieś wyruszyła do kościoła, prawie cała wieś brała udział w uczcie weselnej. Przy suto zastawionym stole zasiadły matka i ciotka Zakliki, a obok pan Sługocki i miejscowy ksiądz proboszcz, a dalej najpoważniejsze gospodynie i najstateczniejsi gospodarze. Zosia tymczasem bratała się z druchnami, zaś Zaklika stał opodal i za swą umiłowaną wzrokiem wodził.

W czasie uczty Sługocki począł opowiadać księdzu przebieg bitwy pod Smoleńskiem, w której brał czynny udział.

— Waszmość sam był w bitwie? na stare lata? — przerwał opowiadanie proboszcz.

A gdy to Sługocki potwierdził, jął kręcić głową i mówić:

— Dziwy, doprawdy, dziwy!

— Nie dziwy żadne, ale prawda oczywista! Gnała mię tam nietylko chęć służenia ojczyźnie, ale może jeszcze więcej pragnienie zemsty nad Moskalami. Trza bowiem księdzu wiedzieć, że jeden z nich wykradł mi jedyną córkę, której do dziś dnia odszukać nie zdołałem.

— Dziwy, doprawdy, dziwy — mruczał zaciekawiony ksiądz.

— Nie dziwy żadne, ale tak było, jak prawię! Może mnie i Bóg pokarał za zdrożną chęć zemsty, ale nie mogłem inaczej uczynić. Pod Smoleńskiem spotkałem się z złodziejem mej córki oko w oko. Uderzyłem na niego z impetem, ale szabla natrafiła na coś twardego, pękła, a Stozłużew wyszedł cało.

— Jezus, Marya? Stozłużew? — zawołał Zaklika na dźwięk tego nazwiska.

— No tak! — odparł nieco rozgniewany Sługocki, że mu opowiadanie przerwano.

Wtedy Zaklika pobiegł do Zosi, ujął ją za rękę, a prowadząc ku Sługockiemu, powtarzał:

— Stozłużew,... Zochna... Jezus, Marya.. ojciec!

Patrzyli wszyscy ze zdziwieniem na zachowanie się Zakliki, nie mogąc pojąć, coby to wszystko znaczyło. Jeden Sługocki na słowa te stanął, jak skamieniały. Wpił się wzrokiem w twarzyczkę dziewczyny i nagle wybuchnął:

— Zośka, córuchno moja, tyżeś to?...

Zosia nie mogła początkowo pojąć tego wszystkiego, bo choć znała historyę swego życia, nigdy nie słyszała nazwiska ojca, gdyż ani Stosłużew, ani Szypiszkin nikomu go nie zdradzili. Mimo to rzuciła się do rąk Sługockiego i poczęła je całować, choćby za to samo, że ją córuchną swoją nazwał, a Sługocki nawzajem tulił dziewczynę do swej rozradowanej piersi.

Z rozmowy, bezładnej wprawdzie, nabrano przekonania, że Zosia naprawdę była córką Sługockiego a on jej ojcem.

Wtedy Zaklika przypadł do niego i jął prosić, aby ten nie odmawiał mu ręki Zosinej.

— Ja waćpanu nie odmawiam, kiedyś ją wyrwał z morza płomieni, to ją bierz, jeżeli cię tylko zechce — rzekł Sługocki.

— Zochna, słyszysz? — pytał Zaklika.

— Słyszę i woli tatusia sprzeciwiać się nie będę — odparła Zosia.

Okrył Zaklika pocałunkami rączęta Zośki, poczem zaczęło się prawdziwe wesele, bo rozradowanie wstąpiło do wszystkich serc.

Na zakończenie uczty tak przemówił Sługocki:

— Przecierpieliśmy wiele, bardzo wiele, ale że krokami naszymi kierowała miłość bliźniego, przeto sprawiedliwy Bóg zrządził, żeśmy przez pogrom doszli wszyscy do prawdziwego szczęścia.

KONIEC.

Spotkanie z bawołem.



Nam, przyzwyczajonym do bezpiecznego podróżowania na wozie, czy koleją żelazną, trudno jest przedstawić sobie niebezpieczeństwa, na jakie wystawiony był podróżnik w czasach starożytnych. Dzisiaj drogi ubite, mosty i tunele ułatwiają przebycie odległości i same wskazują, którędy jechać trzeba, a żandarmerya czuwa, aby podróżny nie był narażony na napad złoczyńców. Jakże inaczej przedstawiało się podróżowanie w czasach starożytnych? Nie było dróg w dalekie okolice, podróżujący sami musieli je sobie torować w nieprzebytych lasach, pilnie bacząc, aby złoczyńcy nie napadli i nie obrabowali mienia a często i nie pozbawili życia. Podróżowano z zapasami żywności, w którą nie można się było zaopatrzyć jeśli się nie upolowało zwierzyny i ze zastępami ludzi uzbrojonych, którzy strzegli od napadu złoczyńców i dzikich zwierząt. Dziś nadarmo szukalibyśmy w lasach dawnych ich mieszkańców: olbrzymich turów, niedźwiedzi, bawołów, całych stad wilków, które rzucały się na jadących. Myśliwi wytrzebili zwierzynę, a skoro pojawią się gdzie wilki wkrótce obława wytępi ich. Obrazek nasz przedstawia chwilę, gdy rzymscy żołnierze w czasie wypraw swoich w głąb krajów, gdzie obecnie leżą Niemcy, spotkali się w puszczy z olbrzymim bawołem. Zwierz patrzy na ludzi ze zdziwieniem, bo może ich widzi po raz pierwszy w życiu. Może wywiąże się za chwilę walka, w której zapewne niebezpieczny zwierz polegnie, ale ofiarą tej walki paść też może i dzielny żołnierz.

Legenda o fiołkach.

Ogromna purpurowa tarcza słońca staczała się zwolna ku linii widnokręgu. Cisza wieczorna, co dzień cały siedziała przyczajona w kniejach boru, wypełzała zwolna, obejmując nad światem panowanie.

Adam, dokończywszy ostatniej skiby, odprzęgnął woły od drewnianej sochy i puścił je na paszę i przeciągnąwszy spracowane ramiona, posłał spojrzenie dziękczynne hen, do góry, gdzie na niepokalanym niebios lazurze zaczęły mrugać gwiazdy. A spojrzenie to było smutne, rozpacz bezdenna w niem się przebijała.

Po chwili usiadł na ziemi i kolana rękami objawszy, zwrócił twarz w stronę raju, owego ogrodu rozkoszy, który tak lekkomyślnie utracił. Rysy jego twarzy, jakby z granitu wykutej i gestym, nitkami srebrnemi przetykanym zarostem okolonej, wykrzywione były męką straszną. Do piersi wpełznęła rozpacz i serce wygnańca w szpony swe porwawszy, szarpie je, jadem zwątpienia zatruwając.

Powiał wietrzyk łagodny i chłodzi miłośnie czoło tułacza — ale on tego nie czuje... W każdym jego powiewie, w szeleście gałęzi zda mu się, że słyszy straszne słowa klątwy:

— Przeklęta będzie ziemia dla ciebie, ciernie i osty rodzić ci będzie!...

Łkanie, siłą woli wstrzymywane, rozrywa mu piersi, a wietrzyk szumi...

...»W pocie czoła będziesz pożywał chleb twój, aż się wrócisz do ziemi, z której jesteś wzięty«...

Adam przypada twarzą do ziemi, jakby chciał zagłuszyć ten głos straszny — lecz darmo.

...»boś jest proch i w proch się obrócisz!«... zgrzytem złowrogim rozlega mu się w duszy..

Hej, wygnańcze-tułaczu, twarda twa dola, straszna męka! Tam Cherub boży z mieczem ognistym w dłoni strzeże wrót do rozkoszy grodu; nie wrócić tam już tobie, nie!... Już niema dla cię nadziei, ani zmiłowania, niema spoczynku, aż gdy cię ziemia utuli.

A męka trwa od lat, nie wie już ilu... W dniu jasnym, w pracy, znajduje ukojenie i zapomnienie — ale najstraszniejsza cisza w nocy...

— Przecz Panie ciśnie mnie prawica Twoja, azaż mało jeszcze łez! Przecz nie skrócisz męki i nie dasz mi spoczynku? — modli się Adam, twarzą w prochu ziemi zanurzony.

Po chwili zerwał się i, kurczowo głowę rękami objawszy, puścił się w stronę pustyni. Łzy gorące padają z ócz pokutnika i wsiąkają w ziemię...

I wyszedł znowu Adam o świcie z sochą na łan, na całodzienny krwawy znój, co dla niego spoczynkiem i ukojeniem. Wtem woń jakaś dziwna, jakby z niebieskich trybularzy bijąca, dolatuje do niego z powiewem wiatru porannego. Przystanął Adam i okiem ciekawem toczy, zdumiony mocno. Wtem da mu się spojrzeć w stronę pustyni i okrzyk zdziwienia wyrwał się z jego piersi... Cała droga, którą wczoraj szedł męką i bólem gnany, pokryta jakimiś kwiatkami, rosą poranną sperlonymi. Stoi Adam zdumiony wonią kwiatów, cudem tu wyrośniętych się pojąc. Wtem staje obok niego postać dziwnie promienna i głosem niebiańskiej harmonii rzecze do Adama.

— Wesel się tułaczu, bo łzy twoje pokutne znalazły łaskę u Pana. Skończona twa męka — niosęć ukojenie i nadzieję spoczynku. Te kwiatki, które tu widzisz, z łez twych wyrosły; kolor ich przypominać będzie tobie i potomkom twoim, że są pokuty owocem!... I upadł Adam do nóg wysłannikowi bożemu, a w duszy uczuł ukojenie; zdało mu się, że raj utracony znowu odzyskał. A Anioł znak błogosławieństwa nad schyloną jego głową zakreślił i znikł, ku niebieskim uleciawszy dźwierzom.

Adam modlitwę dziękczynną odmówiwszy, zabrał się do pracy. ***Władysław Sioło.***

Koronacya w Kochawinie.

Wszystkie narody katolickie otaczają Matkę Boską czcią i miłością. Tysiące świątyń wzniesionych pod Jej wezwaniem, uroczyste nabożeństwa, miejsca cudami słynące, gdzie Najświętsza Panna wybranym raczyła się objawić, są tego dowodem. Ale bez przechwałki powiedzieć możemy, że największej czci doznaje Matka Boża w Polsce. Już przed wiekami mężne hufce wojska polskiego szły do ataku z Jej Imieniem na ustach. Jasną Górę Matka Boża obroniła przed Szwedami i natchnęła cały już w ręku wroga pozostający kraj taką siła ducha i wiarą w zwycięstwo, że Szwedzi zostali z Polski wyparci. Żaden też naród w hołdzie i uwielbieniu nie uczynił Matki Chrystusowej swą Królową, tylko polski, od czasu pamiętnych ślubów króla Jana Kazimierza w katedrze lwowskiej.

Koronacye cudownych obrazów Najśw. Panny Maryi w Polsce są również dowodem nabożeństwa i czci, jaką wierny naród polski przejęty jest dla swej Królowej.

O koronacyi cudownego obrazu Najświętszej Panny w Kochawinie pisze przyjaciel i współpracownik naszego pisma:

Kochawina to mała miejscowość w obwodzie stryjskim. Tu się ukazał na dębie w roku 1646 obraz Matki Boskiej z Dzieciątkiem Jezus na ręku. — W krótkim czasie zasłynął on jako cudowny i za taki został ogłoszony dekretem w roku 1755 wydanym przez arcybiskupa lwowskiego Wyżyckiego. Odtąd stała się Kochawina miejscem licznych pielgrzymek z całej niemal Polski.

Dnia 15 sierpnia odbyła się koronacya tej cudownej Matki Bożej. Kochawina przybrała wygląd świąteczny i uroczysty. Wszystkie ulice udekorowano zielenią, chorągwiami narodowemi i lampionami. »Witajcie nam czciciele Maryi« — taki napis widniał na bramie wjazdowej. A było tych czcicieli Matki Bożej dziesiątki tysięcy. Liczne pociągi przywoziły po kilka tysięcy pielgrzymów. Przybyły Drużyny Bartoszowe, Sodalicye Maryańskie i wiele innych towarzystw wraz z muzyką. Największą była wycieczka ze Lwowa. Z okolicznych miejscowości przybyły wielkie procesye. Tysiące fur zaległo pola kochawińskie.

Koronacyę poprzedziła misya, trwająca cztery dni. Tysiące wiernych przystąpiło do Stołu Pańskiego. I kiedy się patrzyło na tę rzeszę rozmodlonego ludu, w sercu rodziła się jakaś wielka otucha, że przecie Marya, która ma tak wiele czcicieli w naszym narodzie nie da nam upaść na duchu mimo przeciwności i prześladowania, i dopomoże, że dla ojczyzny naszej zabłyśnie wreszcie lepsza dola.

W dniu Wniebowzięcia Najśw. Panny Maryi po odprawionej sumie na łące nastąpiła koronacya cudownego obrazu. Obraz ów pięknie przystrojony niesiono z kościoła na łąkę z wielką procesyą przy odgłosie muzyki a przy wielkim udziale duchowieństwa i pięciu biskupów. Przybyli bowiem na tę uroczystość ks. Arcybiskup Bilczewski, ks. Biskupi: Pelczar, Nowak, Wałęga, Fiszer.

Aktu koronacyjnego dokonał ks. Arcybiskup Bilczewski, błogosławiąc potem obrazem ziemię polską i lud zebrany. W podniosłem kazaniu nawoływał do czci i miłości Królowej Korony Polskiej, którą chcą dziś poniżyć wrogowie Kościoła katolickiego.

Uczestników tej wielkiej a rzadkiej uroczystości było przeszło 40 tysięcy.

Józef Kobylański.

Sen lekarza.

(Opowiadanie św. Augustyna).

Pewien lekarz w Kartaginie,
Mąż cnót rzadkich i zacności,
Sławny w nadmorskiej krainie
Ze swej sztuki i mądrości,

Nie mógł nijak pojąć tego,
Co dla nas tak zrozumiałem:
Że duch człowieka każdego
Nie umiera razem z ciałem.

Pytał ksiąg i wielu osób,
I mózg co dnia próżno suszy:
Uwierzyć na żaden sposób
Nie mógł w nieśmiertelność duszy.

Aż sen zesłał Bóg na niego,
W którym lekarz jak na jawie
Ujrzał młodzieńca cudnego,
A ten spyta go łaskawie:

— „Śpisz?“... — „Tak“ — lekarz odpowiada
— „A czyś jest świadomy tego?“...
— „Tak“. — I młodzian znowu bada:
— „Czy mnie widzisz?“ — pyta się go.

— „Widzę — i to doskonale!“ —
— „A czem? czy twemi oczami?“...
— „Ej, nie; tego nie wiem wcale“.
— „A słyszysz?“... — „Tak“. -
— „Czy uszami?“...

— „Nie“. — A młodzian pyta dalej:
— „Mówisz teraz?“... — „Zdaje się mi“...
— „Pewnyś tego?“... — „Tak“. — „Ażali
Mówisz ustami własnemi?“...

— „Wątpię; zresztą nie wiem tego
— Czy co mówią usta moje“...
A młodzian rzecze do niego:
— „Nie działają zmysły twoje.

Jesteś we śnie pogrążony,
A przecież się zastanawiasz,
Myślisz... Mimo żeś uśpiony,
Widzisz, słyszysz i rozmawiasz.

Lecz czas leci. Dnia jednego
Śmierć swą mocą niesłychaną
Przetnie kres życia twojego,
I zmysły działać przestaną.

Zgaśniesz — jak gwiazda na niebie
I zimnym trupem się staniesz;
A jednak — zapewniam ciebie:
Żyć, mimo to, nie przestaniesz.

Wzrok, słuch, czucie pozostanie,
Będziesz myśleć i pojmować:
Choć zgnije ciało w kurhanie,
Nie przestaniesz egzystować“.

I w tem znikł. — Lekarz się zdumiał,
Bo poznał prawdę rzetelną
Słów młodzieńca, bo zrozumiał:
Że dusza jest nieśmiertelną.

Jacek Obrochta.

Chińska dorożka.



Zupełnie niesłusznie zwykło się mówić o Chinach, jako kraju zacofania. Tak w istocie bowiem nie jest. Chiny mają dawniejszą od Europy cywilizacyę, uczeni chińscy w czasach zamierzchłych dokonali wielu odkryć, o których się Europejczykom wówczas nie śniło, gdyż Europa nie była tem, czem jest dzisiaj, to jest szeregiem krajów, gdzie kwitnie nauka, sztuka, gdzie wysoko stanęły wszelkiego rodzaju wynalazki techniczne. To żeśmy przez całe wieki tak mało wiedzieli o Chinach tłómaczyć tylko należy wielką odległością tego olbrzymiego państwa azyatyckiego i brakiem komunikacyi. Obecnie, gdy są koleje, wielu Europejczyków już Chiny poznało, wielu w nich mieszka, a są wśród nich i pisarze, co poznawszy język i piśmiennictwo chińskie, przyswajają swoim krajom utwory tego narodu. Wśród mieszkających w Chinach są i Polacy, którzy również poezye i inne utwory chińskie tłómaczyli na nasz język.

Z pomiędzy wynalazków chińskich, stwierdzili już uczeni, że igła magnesowa, która pokazuje północ i południe, według której oryentują się okręty a także i podróżnicy po dalekich, niezamieszkałych krainach — została o setki lat wcześniej wynaleziona w Chinach. Używali jej Chińczycy podczas swych podróży po rozległych stepach tatarskich. W wozach były małe figurki, do których igła taka była przytwierdzona i które stanowiły niejako zegary. Uderzająca osobliwym wyglądem dorożka chińska, którą przedstawia nasz obrazek, posiada podobny przyrząd, który znów oznacza ilość drogi przebytej. Podobne dorożki w ostatnich czasach dopiero weszły w użycie w wielkich miastach Europy; posiadają mechanizmy zegarowe, dokładnie wskazujące należytość dorożkarza. Wedle tego też dorożkarzowi się płaci za jazdę. Dorożki takie zowią się taksametrowemi. Otóż w Chinach paręset lat temu znano podobne doróżki. Koła przednie wozu były zręcznie połączone z figurką Chińczyka znajdującą się na koźle obok bębna. Gdy dorożka ujechała chińską milę, t. j. około pół naszego kilometra, figurka uderzała pałeczką w bębenek. Według tego płacono za użycie dorożki.

Pogrzeb japoński.

Mówią w Japonii, że kapłani wiedzą o śmierci człowieka, zanim on jeszcze umrze, ponieważ w przeddzień śmierci krąży dusza u wrót świątyni i kołacze do nich. Kapłani wstają, ubierają się, a kiedy zjawia się zwiastun śmierci, mówią: — Dobrze, już wiemy. Tymczasem kładzie się trupa przed łóżkiem na podłodze. Nie podkłada mu się poduszki pod głowę, ale na ciało kładzie się nagi miecz, broniąc w ten sposób dostępu złym duchom. Otwiera się kapliczkę domową, zapala się światła przed tabliczkami przodków i spala się kadzidła. Wszyscy przyjaciele przysyłają kadzidła w prezencie, stąd też jest rzeczą nieprzyzwoitą w Japonii posłać przy innej sposobności komuś w podarunku kadzidła, choćby nawet bardzo drogie. Między zwłokami a drzwiami ustawia się papierowy parasol, na którym napisane jest pośmiertne imię zmarłego. Jeśli zmarły umarł w młodym wieku, parasol stawia się do góry nogami. Przyjaciele modlą się nad trupem, koło którego stoi puszka z 1.000 ziaren grochu. Odlicza się je, odmawiając tysiąc zaklęć, potrzebnych duszy do przebycia nieznanej podróży. Kapłani przychodzą, odmawiają żałobne modliwy, poczem myje się ciało ciepłą wodą i ubiera w białe suknie. Kimono (nazwa szaty) zmarłego zapina się po lewej stronie, dlatego złowróżbną rzeczą jest, jeśli kto z lewej strony kimono na sobie zapnie.

Kiedy już zmarły leży w swojej czworograniastej, do lektyki podobnej trumnie, wkłada do niej każdy z obecnych albo pukiel włosów, albo odcięty paznogieć — jako symbol swojej krwi. Wkłada się też sześć pieniążków dla sześciu duchów, czyhających na sześciu rozstajach paziemskiej drogi. Pogrzeb wyrusza z domu. Na przedzie idzie kapłan z małym dzwonkiem, za nim tylko mężczyźni, krewni i przyjaciele zmarłego. Niektórzy niosą białe chorągiewki, inni kwiaty, inni latarnie papierowe, ponieważ w dzień grzebie się tylko dzieci, zaś dorosłych dopiero z rozpoczęciem nocy. Wreszcie ludzie z kasty paryasów (ubodzy), obowiązani do asystowania przy pogrzebach i kopaniu grobów, niosą trumnę, za którą postępują kobiety. Kobiety ubrane są w obszerne, długie, fałdziste białe szaty. Taki orszak pogrzebowy, posuwający się wolno przy słabym blasku papierowych lamp, wygląda jak pochód duchów. — Przy wejściu do świątyni ustawia się trumnę ze zwłokami na posadzce, poczem rozpoczyna się drugie nabożeństwo, po skończeniu którego orszak żałobny znowu się zbiera, okrąża świątynię i udaje się na cmentarz, gdzie ze względu na możliwość pozornej śmierci, zwłoki zmarłego leżą jeszcze 24 godzin.

ROZBITKI Z BALONU.

ROZDZIAŁ XV.

Projekt wyprawy. — Ayrton w zagrodzie. — »Bonawentura«. — Depesza do zagrody. — Drut zerwany. — Harbert raniony.

Cyrus pragnął jak najprędzej przyprowadzić do skutku zamiar szczegółowego zbadania wyspy. Ponieważ jednak wycieczka miała trwać kilka dni, trzeba było zabrać ze sobą wóz z rozmaitymi zapasami, a tymczasem jedna z onag skaleczyła nogę, i ledwie po kilku dniach mogła być zaprzężona do wozu. Odłożono więc wyjazd, ale aby nie tracić czasu, postanowiono przez te kilka dni ukończyć roboty na płaszczyźnie Pięknego widoku. Ayrton udał się na parę dni do owczarni, w celu uzbierania paszy dla muflonów. Gdy odchodził, Cyrus przypomniał mu obecność rozbójników na wyspie i zapytał, czy nie życzy sobie, aby mu kto towarzyszył. Ayrton odpowiedział, że byłoby to zbyteczne, że nie lęka się niczego, a roboty nie będzie wiele dla jednego. W każdym razie, gdyby coś ważniejszego zaszło w owczarni lub w jej okolicach, uwiadomi zaraz przy pomocy telegrafu.

Oddalił się sam, 9 listopada z rana, zabrawszy z sobą wóz, zaprzężony w jedną onagę; we dwie godziny później dał znać, że w owczarni zastał wszystko w porządku. Kilka dni Cyrus Smith przeznaczył na zabezpieczenie Granitowego pałacu od wszelkiej niespodziewanej napaści. W tym celu podwyższono o parę stóp poziom jeziora, aby woda zakryła całkiem zamurowany obecnie otwór dawnego upustu. Gdy skończono tę niełatwą pracę, niepodobna było domyśleć się nawet, że kiedyś istniał tam podziemny kanał, przez który woda z jeziora odpływała do morza, a tem mniej jeszcze, że dawniej z tej strony można było wejść do Granitowego pałacu.

Następnie Penkroff, Spilett i Harbert udali się do portu, gdyż marynarz pragnął przekonać się, czy rozbójnicy nie byli czasem w małej zatoce, gdzie »Bonawentura« stał na kotwicy.

— Właśnie — mówił — wylądowali na południowem wybrzeżu. Jeżeli trzymali się jego, mogli zobaczyć nasz port, a w takim razie nie dałbym pół dolara za naszego »Bonawenturę«.

Tak Penkroff, jak i towarzysze jego puścili się w drogę dobrze uzbrojeni. Nab towarzyszył im aż do mostu, który spuścił zaraz, gdy stanęli na przeciwnym brzegu Mercy, umówiwszy się pierwej, aby wystrzałem z fuzyi dali mu znać o swoim powrocie.

Pomimo, że do portu Balonu było tylko trzy i pół mili, koloniści stanęli tam dopiero po dwu godzinach, gdyż zbaczali często z drogi, aby się przekonać, czy na skraju lasu lub około bagna Tadorna, nie znajdą śladów pobytu rozbójników; nic jednak nie zdradzało ich obecności w tej stronie, co dowodziło, że nie znając liczby kolonistów i nie wiedząc, jakie posiadają środki obrony, musieli się ukryć w najniedostępniejszej części wyspy. Penkroff przekonał się z najwyższem zadowoleniem, że »Bonawentura« stał spokojnie w zatoce.

— Bardzo to szczęśliwie — powiedział Harbert — bo gdyby zobaczyli »Bonawenturę«, zabraliby go z pewnością, i nie moglibyśmy udać się powtórnie na wyspę Tabor, aby pozostawić tam zawiadomienie o miejscu, w którem Ayrton znajduje się obecnie.

— Sądzę — rzekł Spilett — że udamy się tam wkrótce po powrocie z zamierzonej wycieczki na wyspę. Zdaje się, że ten nieznany nasz przyjaciel, którego zamierzamy szukać, mógłby nam wiele powiedzieć szczegółów tak o naszej wyspie, jak i o wyspie Tabor. Nie możemy już wątpić, że to on napisał dokument, zawarty w butelce, i kto wie, czy nie mógłby nas także uwiadomić, czy i kiedy jacht szkocki powróci?

— Kto to jednak być może? — zawołał Penkroff. — Zna nas doskonale, a my go nie znamy. Jeżeli to jaki rozbitek, to czemuż się ukrywa? Wszak jesteśmy uczciwymi ludźmi, a towarzystwo uczciwych nie może być przykre dla nikogo! Czy on dobrowolnie osiadł na wyspie? Czy może odpłynąć, kiedy zechce? Czy przebywa tu jeszcze, czy też już się oddalił?...



Harbert padł na ziemię.

W ciągu tej rozmowy, Penkroff, Harbert i Spilett weszli na pokład »Bonawentury«.

— A to co! — zawołał marynarz, patrząc na linę od kotwicy. — Dziwna rzecz!...

— Co takiego, Penkroffie? — zapytał reporter.

— To nie ja zawiązałem ten węzeł.

Mówiąc to, wskazywał na sznur, którym lina kotwicy była przymocowana.

— Jak to nie ty, a więc któż? — zapytał Spilett.

— Tego nie wiem, ale mogę przysiądz, że nie ja. To jest węzeł płaski, a ja zawsze robię podwójny.

— Nie omyliłeś się, Pezkroffie?

— Nie, nie omyliłem się, nie mogłem się omylić. U marynarza zamienia się to w nałogowe nawyknienie, nawet bezwiednie zawiązuje tak, a nie inaczej.

— W takim razie — rzekł Harbert — trzebaby wnosić, że korsarze byli na pokładzie.

— Nie wiem, kto był, ale to pewna, że podniósł a następnie zarzucił napowrót kotwicę — odpowiedział marynarz. — Patrz! jeszcze jeden dowód: zdjęto płótno zabezpieczające linę od tarcia.

— Zdaje się jednak, że gdyby »Bonawentura« dostał się w ręce korsarzy, uciekliby...

— Uciekliby?... czy na wyspę Tabor?... I ty myślisz, że odważyliby się wypłynąć na morze na tak małym statku?

— Prócz tego musieliby wiedzieć o istnieniu wyspy Tabor — dodał reporter.

— Bądź co bądź, jestem tak pewny, że nasz »Bonawentura« mimo naszej wiedzy wypłynął na morze, jak tego, że nazywam się Penkroff.

— Czyżby to jednak być mogło, abyśmy nie widzieli, że »Bonawentura« oddala się i zbliża do wyspy? — zapytał reporter.

— O! panie Spilett, na to dość wypłynąć w nocy.

— Prawda — odpowiedział Gedeon. — Ale pomimo woli nasuwa się znów pytanie, w jakim celu korsarze robili tę wycieczkę, i czemu, zabrawszy raz statek, odprowadzili go do portu?

— Ha! panie Spilett, policzmy to do rzędu niezrozumiałych dla nas wypadków, jakie nas już spotykały, i nie myślmy o tem więcej! Szło nam głównie o to, abyśmy zastali tu jeszcze »Bonawenturę« i zastaliśmy, dzięki Bogu; źle tylko, że dopóki rozbójnicy znajdować się będą na wyspie, ciągle obawiać się musimy, aby go nie zniszczyli, lub nie zabrali.

Tego samego dnia wieczorem telegrafowano do Ayrtona, prosząc, aby przyprowadził z sobą parę młodych kóz, które Nab chciał oswoić. Dziwna rzecz, Ayrton nie dał odpowiedzi, jak to czyni zawsze, aby wiedziano, że otrzymał depeszę. Zadziwiło to inżyniera! Sądził jednak, że Ayrton wyszedł z domu a może nawet wracał już do Granitowego pałacu, gdzie, według umowy, miał stanąć na drugi dzień wieczorem.

Koloniści czekali na Ayrtona do dziesiątej godziny, a gdy nie wrócił, zatelegrafowali powtórnie, prosząc, aby odpowiedział. Odpowiedzi nie było. Opanował ich niepokój, i każdy zadawał sobie pytanie, co się tam stać mogło? Czy Ayrtona nie było już w oczarni, czy też przestał być wolnym? Nad tem ostatniem pytaniem długo się zastanawiano; jedni chcieli iść zaraz, inni radzili zatrzymać się jeszcze.

— Może — odezwał się Harbert — przyrząd telegraficzny uległ uszkodzeniu, i dlatego nie mamy odpowiedzi.

— Bardzo to być może — potwierdził reporter.

— Zaczekajmy do jutra — rzekł Cyrus. — Ayrton mógł rzeczywiście nie odebrać naszej depeszy, albo też my jego odpowiedzi.

Nazajutrz, 11 listopada, zaledwie świtać zaczęło, Cyrus Smith przesłał Ayrtonowi pytanie: kiedy powróci? I tym razem nie otrzymał żadnej odpowiedzi.

— Spieszmy do owczarni! — odpowiedział z żywością.

Nie chcąc zostawić Granitowego pałacu bez opieki, powierzono straż nad Nim Nabowi. Miał doprowadzić towarzyszy do strumienia, zwieść most za nimi, a następnie skryć się między drzewami i czekać tam powrotu ich lub Ayrtona. Gdyby rozbójnicy chcieli dostać się na płaszczyznę, polecono mu strzelać, a jeżeliby nie odstraszył ich tym sposobem, schronić się do Granitowego pałacu, gdzie był bezpieczny.

Cyrus, Gedeon, Harbert i Penkroff udali się wprost do owczarni. Koloniści szli prędko i ostrożnie. Top ich poprzedzał, biegnąc to środkiem drogi, to zbaczając w gęstwinę, lecz nie okazując najmniejszego niepokoju.

Zwracali uwagę na słupy i druty telegraficzne, i przez całe dwie mile znaleźli wszystko w porządku; lecz dalej już inżynier spostrzegł, że drut nie był dość wyciągnięty, a wkrótce potem Harbert, wyprzedzający towarzyszy, zatrzymał się, wołając:

— Drut przerwany!

Wszyscy pobiegli. Słup przewrócony leżał na środku drogi; to im wyjaśniło, dlaczego nie odbierali odpowiedzi od Ayrtona.

— Prędzej! prędzej! Spieszmy do owczarni — zawołał marynarz.

Puścili się w dalszą drogę, przyspieszając jeszcze kroku; każdy z nich przeczuwał, że w owczarni musiał zajść jakiś ważny, a może i straszny wypadek.

Przywiązali się przytem szczerze do nowego towarzysza, dlatego też biegli mu na ratunek, miotani obawą, czy nie został zamordowany przez swych dawnych towarzyszy. W pobliżu owczarni zwolnili kroku, aby odpocząć trochę, zanim przyjdzie im rozpocząć przypuszczalną walkę. Top, warcząc, zatrzymywał się czasami, co nie zapowiada nic dobrego.

Zbliżyli się nakoniec do palisady, otaczającej domek i owczarnię. Nigdzie nie było śladów zniszczenia; drzwi zastali zamknięte, wszędzie głęboka panowała cisza, nie słyszeli ani głosu Ayrtona, ani zwykłego beczenia muflonów.

— Wejdźmy — rzekł Cyrus Smith.

Zbliżył się do drzwi, gdy tymczasem towarzysze jego stanęli o dwadzieścia kroków z przyłożoną do ramienia bronią.

Cyrus odsunął zasówkę, a jednocześnie Top gwałtownie zaczął szczekać. Ponad palisadą rozległ się wystrzał i dał się słyszeć krzyk bolesny. Harbert padł na ziemię, ugodzony kulą!

(Ciąg dalszy nastąpi)

Złote myśli z pism J. I. Kraszewskiego.

»Lud biedny pozostawić na łasce Opatrzności, nie pozwala sumienie«.

»Mocen jest Bóg, a gdy naród do wielkich przeznaczeń namaści, a nie spełni ich, to go jak nas odrzuci od siebie z urągowiskiem«.

»Dość było rozpaczliwego miotania się i porywów bezsilnych. Upadek dzisiejszy winniśmy nie tyle prześladowaniom i uciskom, jak raczej świętym, poczciwym bohaterskim ale nieopatrznym pokuszeniom, w które nas boleść rzuciła, cierpienie nad siły popchnęło«.

»Nie godzi się żyć na świecie jednym sobą, dla namiętności swojej tylko. Życie powinno być poświęceniem ciągłem. Życie na jednem samolubnem poczuciu, to życie jedwabnika, co się drogą swą nicią sam na śmierć obwija«.

»Niema serc lepszych i poczciwszych nad serca naszego ludu, ale je często zatwardza, zamyka własny głód i pragnienie. W ciężkiej doli, trudno się zebrać na litość, a ostatnim kęsem nie każdy podzielić się potrafi«.

»Niema nic, nawet w świecie sztuki, prawdziwszego nad prawdę; oddalanie się od niej, odstąpienie, czuć będzie fałszem«.



MACIEK BZDURA GADA:

Bartek od Furgaca pada, ze źle jest na świecie i takoj ono prawda. Bo słuśnie pada Bartek: cemu to Pan Jezus nie zrobił tak, aby na wirzbach rosły gruski a na brzózkach jabka. Wtedy mieliby ludzie swego owoca dość i nie pakudziliby się na cudze.

W Zielną ślimy z Bartkiem wele plebańskiego ogrodu a Bartek, pokazując na cyrwieniuśkie jabka i żółciuśkie gruski, pada:

— Cemu to Pan Jezus jegomości daje tyla różności: na jabłonkach tyla jabłek, na gruskach tyla grusek a na śliwinie tyla śliwek? A cemu to ani u mojego tatusia, ani u Symka Walochy, ani u Jacka Tyrkały, ani u Jakundziny, ani u tyla insych gospodarzy w cały Zatracony Wsi nie użrys ani jednego owocu.

— Gupiś Bartek! — ja na to. — Bez to nima, bo w Zatracony Wsi cały nima ani jabłonek ani grusek!

— A widzis! — pada Bartek — to takze na mojem, ze Pan Jezus z panami a księdzami trzyma i jem i jabłonki i gruski dał, a chłopu ino wirzby i brzózki.

— A prawda! — padam. — A ja jakosik tego nigdy nie zauważyłem. Mnie się zawse widziało, ze kuzden sam se moze posadzić drzewa, jakie fce, a Pan Bóg ino dyscyk spusca i słonkiem grzcje, aby to rosło.

— Acha! — Bartek na to. — Jakby tak było, toby kuzden wolał przy chałpie rodzajne drzewo posadzić, jak byle jaką chojarę, ale musi tak być, ze juz sam Pan Jezus tak bidnych ludzi upośledza.

Ano tak Bartek pada, to ono musi być prawda, bo Bartek człek ucony, bo bez całą zimę do skoły chodził i nawet niktóre drukowane litery na lamentarzu pozna. Ale mi ino to dziwne było, ze wszyćkie pastuchy na polu to mają zawse i jabka i gruski, choć przy chałpach ich gospodarzy same wirzby, brzózki i topole rosną.

A ze to ja jestem z urody i ciekawości do baby podobny, więc wiąłem się na siandarski sposób i jąłem wkiejsik pasterzy z Zatracony Wsi egzaminować.

— Skąd mas te jabka? — pytam jednego.

— Z jegomościowego ogrodu — pada.

— A ty skąd mas? — pytam drugiego.

— Z jegomościowego ogrodu — pada.

— A ty skąd? — pytam trzeciego.

— Z jegomościowego ogrodu — pada.

Tak samo cwarty, piąty i dziesiąty, a jeno cosik paru miało z dziedzicowego, a jeden z wójtowego.

— Acha! — myślę se — to Pan Jezus przyścipnie zrobił: jegomości i panu dziedzicowi dał drzewa, a chłopakom z Zatracony Wsi owoce.

I bez to to takie chłopaki w Zatracony Wsi są jako te wróble, co nie sieją ani orzą, ino cudzą krwawicę... kradną. A ojcowie abo gospodarze, zamiast zerznąć dudy takiemu smykowi, jesce często gęsto kradzione jabka zjadają.

Nima sprawiedliwości na świecie!

Z TYGODNIA.

Dziewięć lat rządów Piusa IX. Dziewięć lat upłynęło w bieżącym miesiącu od chwili, gdy na głowę patryarchy weneckiego, ks. Sarto, włożono potrójną koronę papieską, — minęło dziewięć lat rządów Piusa X nad Kościołem. Leona XIII nazwano po 25 latach panowania »wielkim dyplomatą« czyli politykiem. Zdobył on sobie ogromną powagę w świecie — Kościołowi wywalczył wolność, Stolicy świętej wpływ wyjątkowy. Pius X, następca znakomitego papieża-dyplomaty, nie obniżył tego wpływu. Skromny, pobożny »święty papież«, z niezmordowaną energią pracował przez 9 lat nad wewnętrznem wzmocnieniem Kościoła. W dziewięcioleciu tem wyszło tyle encyklik, ustaw kanonicznych, przepisów i wskazówek, odnoszących się do życia kościelnego, ile mało który papież wydał. Owoce tej pracy okazują się już dzisiaj. Wzorowa karność duchowieństwa, wszechstronne ożywienie życia kościelnego — to tylko kilka zewnętrznych dowodów skuteczności reform Piusa X. Ale i w dziedzinie dyplomatycznej tj. w stosunkach z państwami, praca Piusa X wydaje plon bogaty. Powiedział na kongresie katolickim w Innsbruku biskup Gross, iż papież w rzeczach polityki może się mylić, ale historya udowadnia, że się prawie nigdy nie mylił... Słowa te stosują się zwłaszcza do Piusa X. Jego polityka wobec Francyi, tąk często atakowana, dzisiaj zbliża się do tryumfu. We Francyi oswajają się z myślą, że republika musi zawrzeć pokój z Watykanem. Jak wiadomo, obecnie stosunki są zerwane i rząd francuski Kościół prześladuje.

Ze szczególną czcią spoglądają Polacy na dostojną postać obecnego papieża. Pius X, podobnie jak Pius IX, szczególną życzliwością otacza naród polski. Jego długoletni opór przeciw mianowaniu Niemca arcybiskupem poznańskim dowodzi, że papież obecny dobrze rozumie i ocenia nasze położenie w Prusach. Również wobec Rosyi Ojciec św. nie poświęca interesów polskich, mimo gorliwych zabiegów rządu rosyjskiego. Kraków dobrze pamięta serdeczne słowa Piusa X, wyrzeczone do deputacyi polskiej, obecnej na niedawnej konsekracyi ks. biskupa Sapiehy w Rzymie. Cała Polska też widzi w Ojcu św. duchowego opiekuna, który rządzi nieśmiertelnem państwem, tj. Kościołem katolickim, którego »bramy piekielne nie przemogą«; naród nasz czerpie stąd otuchę, że i prześladowania moskiewskie i pruskie, skierowane przeciw Polakom katolikom, nie dopną celu!

Urodziny cesarskie. W całej monarchii austryacko-węgierskiej obchodzono dn. 18 b. m. uroczyście dzień urodzin cesarza Franciszka Józefa. W kościołach odbyły się nabożeństwa solenne, wojskowość uczciła rocznicę paradami, w której wzięły wojska wszelkich rodzai broni. Cesarz Franciszek Józef I. urodził się w r. 18 sierpnia 1830, obecnie więc dostojny i czcią powszechną otaczany monarcha rozpoczął 83 rok życia.

Udaremniony zamach na cara. Pod powierzchnią srogiej karności wojskowej w Rosyi tli nieustanne zarzewie buntu. Rewolucyoniści działają w wojsku nieustannie. Rzadko przedostają się do wiadomości publicznej wypadki świadczące o tem, bo wojskowość tego nie dopuszcza. Teraz jednak nie dał się ukryć zamach marynarzy rosyjskich na cara. Oto doniesiono, że w Sebastopolu, na półwyspie krymskim, aresztowano 16 marynarzy z załogi pancernika »Iwan Złatoust«, którzy chcieli porwać cara wraz z rodziną i zmusić go do abdykacyi. Przy aresztowaniu tych marynarzy, przy-

szło do bójki, podczas której czterech z nich zastrzelono. Dziesięciu zaś zostało przez sąd wojenny skazanych na śmierć. Jak słychać, spiskowcy mieli zamiar zatrzymać okręt carski »Sztandart« na drodze z Jałty do Sebastopola, zabrać cara wraz z rodziną do niewoli, i wydobywszy od niego akt zrzeczenia się tronu, ogłosić republikę. Gdyby ten zamiar był się udał, gdyby ten pierwszy krok został szczęśliwie spełniony, miał wybuchnąć bunt na okrętach na Morzu Północnem. Załoga tej floty miała wymordować oficerów i skierować działa na Kronsztad. Spisek spełzł na niczem z powodu zdrady jednego ze spiskowców. Załoga sebastopolska otrzymała surowy nakaz utrzymania całego zajścia w największej tajemnicy, co się jednak nie udało.

Niemcy a Japonia. Ks. Henryk pruski jedzie do Tokio, stolicy Japonii, gdzie na pogrzebie zmarłego cesarza Mutsuhito reprezentować ma brata swego, cesarza Wilhelma. Podróż ta ma na celu głębsze zamiary polityczne, mianowicie wzmocnienie stanowiska Niemiec na Dalekim Wschodzie i zawiązanie ściślejszych stosunków z Japonią. Książę Henryk wyjedzie z Kilonii dnia 29 b. m., udając się do celu podróży przez Syberyę, do posiadłości niemieckiej Kiao-Czao, na wschodniem wybrzeżu zatoki Peczylijskiej, gdzie wsiądzie na niemiecki okręt wojenny i popłynie do Tokio. W otoczeniu księcia znajdować się będzie również marszałek dworu i liczny sztab marynarki.

Jubileusz rządów króla Ferdynanda. Obecny król bułgarski Ferdynand, dawniej posiadający tylko tytuł księcia, obchodzi obecnie jubileusz 25-lecia swych rządów. W całym kraju odbywają się nabożeństwa i parady wojskowe. Bułgarya jest niedużem, lecz doskonale pod każdym względem, zwłaszcza wojskowo zorganizowanem państwem. Król Ferdynand, choć z krwi niemieckiej, cieszy się w kraju sympatyą, w znacznej bowiem mierze Bułgarya zawdzięcza mu swój rozwój.

Konwencya francusko-rosyjska. Zapewne w celu bliższego omówienia zamierzonego przymierza marynarskiego między Rosyą a Francyą, bawił w zeszłym tygodniu w Rosyi francuski prezydent ministrów, Poincaré. Był on Petersburgu przyjęty przez cara i przedstawicieli rządu rosyjskiego bardzo serdecznie; bawił także w Moskwie, również serdecznie przyjmowany przez tamtejsze władze rosyjskie.

Zamęt w Turcyi. W rokowaniach między rządem tureckim a Albańczykami, część powstańców zadowoliła się ustępstwami rządu, reszta jednak stoi pod bronią. Na konferencyę w mieście Skoplije. w Albanii, przybyło 300 uzbrojonych Albańczyków; narady nie odbyły się. Turcy zaprotestowali przeciw uzbrojonym, ci zaś odeszli.

Narady mocarstw o Turcyi. Zamęt w Turcyi obecnie trwający, przyczem chrześcijanie padają ofiarą mahometan, skłonił austro-węgierskie ministerstwo spraw zagranicznych do rozesłania do mocarstw zaproszenia do wymiany zdań o stosunkach, panujących obecnie w Turcyi. Narady te będą mieć głównie na celu omówienie położenia narodów niemahometańskich w państwie sułtana. Wymianę zdań przeprowadzą ambasadorowie u dworów mocarstw. Nie idzie o rozwiązanie kwestyi bałkańskiej, lecz o stworzenie na nowo porozumienia europejskiego co do Turcyi i państw na Bałkanie. Turcya otrzyma od mocarstw poparcie w nowych zamiarach, a rząd turecki odzyska zaufanie narodów bałkańskich, które tak wielkie nadzieje przywiązywały w swoim czasie do konstytucyi. Każdy naród bałkański będzie osobno powiadomiony przez przedstawicieli mocarstw o wyniku porozumienia.

KRONIKA.

Nowa powieść. W numerze dzisiejszym kończymy druk powieści »Przez pogrom«, którą z takiem zajęciem czytali nasi prenumeratorowie. W następnym numerze rozpoczynamy druk nowej powieści p. t. »Rok 1813«, która przedstawi dalsze losy cesarza Napoleona po odwrocie z Moskwy. Mamy nadzieję, że powieść ta żywo zajmie naszych czytelników.

Sejmik relacyjny. W dn. 2 b. m. odbyło się we dworze Filipowicach, pod przewodnictwem p. Franciszka Janickiego, włościanina i byłego naczelnika gminy, zgromadzenie wyborców z Filipowic i okolicznych gmin, na którem stanął poseł do Rady państwa Dr Antoni Matakiewicz i złożył sprawozdanie poselskie, które obecni wysłuchali z uwagą i życzliwie, a po odpowiedzi posła na kilka zapytań uchwalili mu jednomyślnie wotum zaufania. Poseł Matakiewicz przedstawił także stan sprawy i swych zabiegów co do regulacyi płynącego przez Filipowice potoku Filipówka, który w górnym swym biegu, o ile przepływa przez wieś Ruda Kameralna, zwie się Rudzianką. — Po dyskusyi w tej sprawie uchwalili zebrani, na wniosek właścianina Franciszka Janickiego, następującą rezolucyę, z wyrażeniem podziękowania Wydziałowi krajowemu, a w szczególności p. posłowi radcy dworu, Kędziorowi, za przyspieszenie wygotowania i regulacyi planów obwałowania Rudzianki i Filipówki, oraz Dunajca z prośbą do posłów pp. Dra Bernadzikowskiego, barona Götza marszałka powiatu brzeskiego, Dra Matakiewicza i Witosa, by tą sprawą gorliwie się zajęli, a w szczególności wystarali się o to, aby do budżetu krajowego na r. 1913 wstawiono kwotę 150.000 kor. jako pierwszą ratę ze sumy 2,700.000 kor., na jaką całe koszta obwałowania Dunajca w dolinie Zakliczyńskiej i regulacyi dopływów Wydział krajowy preliminował.

Stacya latawców wojskowych w Krakowie. Ministerstwo wojny postanowiło, jak wiadomo, zakupić dla armii kilkadziesiąt latawców i odnośne obstalunki zostały już poczynione. Jak obecnie donoszą, w przyszłym roku zostanie w Krakowie utworzoną stacya latawców wojskowych. Komendantem stacyi krakowskiej zostanie prawdopodobnie nadporucznik Miller, krakowianin, wybitny lotnik.

Wiec. W Przybysławicach koło Radłowa odbył się dn. 11 b. m. w sali szkolnej bardzo liczny wiec ludowy pod przewodnictwem naczelnika gminy Przybysławice, Nawrota, na którym wobec wyborców z Przybysławic: Zdroba, Marcinkowicza i Zabawy, obecni na uroczystości posłowie do Rady państwa Dr Matakiewicz i Witos wygłosili sprawozdania poselskie i wysłuchali rozmaitych życzeń wyborców, poczem zgromadzeni uchwalili obu posłom wotum zaufania, a przewodniczący podziękował im za akcyę zapomogową dla dotkniętych gradobiciem, wyjednanie otwarcia składnicy pocztowej, subwencyę na budowę kościołów i obwałowanie Kisieliny.

Poświęcenie sztandaru. W niedzielę dn. 11 b. m., w kościele parafialnym w Otfinowie po sumie poświęcił miejscowy proboszcz X. kanonik Piotr Podolski sztandar straży ogniowej ochotniczej z Przybysławic, przyczem wygłosił podniosłe przemówienie, w którem określił szczytne zadanie straży ogniowej i wezwał obecnych jej członków, by wytrwale bronili mienia i życia ludności, a przytem patrząc na poświęcony dziś sztandar z wizerunkami Matki Boskiej częstochowskiej i św. Floryana, byli wierni wierze świętej i ojczyźnie.

Piorun w kościele. Dnia 6 b. m. o godz. 4 min. 30 po południu w gminie Raciborowice, odda-

lonej od Krakowa o 8 klm., uderzył podczas gwałtownej burzy piorun w kościół parafialny, wspaniały zabytek w stylu gotyckim, budowy X. Jana Długosza w r. 1450. Piorun wpadł przez okno w zakrystyi, przeszedł po drzwiach żelaznych, prowadzących z zakrystyi do kościoła, i wpadł w kościele pod posadzkę kamienną, nieco tylko uszkodziwszy ścianę kościelną w presbyteryum. Świątynia, jakby cudem, ocalała od ognia.

(J. K.) **Śmierć w zgiełku.** W czasie uroczystości koronacyi Matki Boskiej w Kochawinie znalazła śmierć wśród zgiełku tysiącznego tłumu, kłębującego się w kościele pewna 13-letnia dziewczyna oraz jedno dziecko będące na rękach matki. Z powyższych dwóch wypadków płynie nauka dla wszystkich, aby na przyszłość nie brać małych dzieci na odpusty, wielkie uroczystości, wogóle tam, gdzie jest masa ludzi, gdyż dzieci mogą zginąć wskutek ścisku, zgubić się lub paść ofiarą niecnych ludzi.

(J. K.) **Hojny dar.** Istnieje w Złoczowie bursa ludowa imienia króla Jana Sobieskiego, która była prowadzona dotychczas wśród ciężkich warunków. Aby ta instytucya, w której znajduje utrzymanie spora liczba synów gospodarskich mogła swobodniej rozwijać się, złożył ksiądz dr. Henryk hr. Badeni, syn byłego marszałka Stanisława hr. Badeniego, jako prezes tej bursy dar w kwocie 5.000 Kor. na jej cele. Pokaźna ta kwota przyczyni się w znacznej mierze do uzdrowienia stosunków tej tak potrzebnej instytucyi.

Rozboje pod Zatorem. Z Zatora donoszą, że w wielkich lasach pod Laskową, koło Zatora, ukrywa się niebezpieczna banda opryszków, która napada i rabuje podróżnych, a nawet podchodzi do zagród włościańskich. Banda jest silnie zorganizowana i dobrze uzbrojona. Hersztem jest jakiś zbieg z więzienia w Wiśniczu. Bandyci, ośmieleni bezskutecznością pościgu żandarmeryi, liczebnie za słabej, aby ich w gęstych lasach wytropić, napadają już nietylko w nocy, ale także w biały dzień. Mieszkańcy nie są pewni swego życia i mienia. W zeszłym tygodniu zrobiono ze wsi okolicznych wielką obławę na bandytów. Wzięło w niej udział kilkudziesięciu gospodarzy i parobków pod wodzą kilku żandarmów. Bandyci ukryli się jednak tak dobrze w gąszczach leśnych, że obława spełzła na niczem. Wobec tego postanowiono wezwać pomocy wojska. Jak słychać, organizuje się na bandytów druga wyprawa okolicznych mieszkańców, która ma posiłkować wojsko.

Pierwszy żyd w Żywcu Mieszczanie żywieccy nie pozwalali żydom mieszkać na terytoryum Żywca i dotychczas skutecznie opierali się wtargnięciu żydów. W ostatnich dniach niejaki p. Seifer, żyd, kupił na licytacyi część domu, w samym rynku leżącego — czyli staje się przez to obywatelem Żywca.

(W. L.) **Pożar od pioruna.** W nocy dn. 6 b. m. w przysiołku Krzywy, należącym do gminy Domaradz, w pow. brzozowskim przeciągała wielka burza z błyskawicami i piorunami. Nagle wśród ciemności nocnej uderzył piorun w pusty dom, z którego rodzina wyemigrowała do Ameryki. Dom spalił się do szczętu.

(W. L.) **Nieszczęśliwy wypadek.** D. 6 b. m. wydarzył się w gminie Gwoźnicy górnej, w powiecie strzyżowskim, smutny wypadek. Gospodyni Marya Lubas warzyła mleko na maszynce spirytusowej. Gdy się już spirytus kończył wypalać, wzięła bańkę 3-litrową, napełnioną spirytusem i poczęła dolewać spirytus do maszynki. Nagle płomień z maszynki objął całą bańkę, która od wielkiego gorąca pękła w jej rękach, a spirytus oblał ją całą w jednej chwili i nieszczęśliwa stanęła cała w płomieniach. Na krzyk jej zbiegli się ludzie, ale ratunek był spóźniony, bo miała nogi i tułów aż po piersi poparzone. Stan jej jest bardzo groźny.

(J. K) **Śmierć w nurtach rzeki.** W Kamionce Strumiłowej utonął w Bugu 18 letni uczeń szkoły handlowej Eugeniusz Krupnicki. Uczył on się pływać w ten sposób, że chwycił się burty (boku) łodzi prowadzonej przez dwóch chłopców i unosił się po powierzchni wody. Nagle, niewiedzieć z jakiego powodu puścił Krupnicki burtę i począł tonąć. Tonącemu pospieszył na pomoc jeden z prowadzących łódź, ale daremnie. Po kilku godzinach dopiero odnaleziono jego zwłoki.

Wrzucony do studni. W jednej z wiosek wschodniej Galicyi, gospodarz Cyryl Rudio żył w niezgodzie z rodziną Habów, a szczególniej z głową tej rodziny Teodorem Habą. Niedawno Rudio siedział na ocembrowaniu studni wiejskiej w chwili, w której właśnie przechodził tamtędy Teodor Haba, dobrze podchmielony, ze synem swoim Andruchem.



Nim Rudio miał czas się oglądnąć, Andruch rzucił się na Rudiego i strącił go do studni, skąd go wyciągnięto po kilku godzinach, ale już uduszonego. Tak to nienawiść, swary i kłótnie prowadzą do zbrodni. A wódka zawsze w takich razach dopomaga do jej spełnienia.

Śmierć od ukąszenia muchy. W Sanoku zmarł uczeń gimnazyalny Izydor Chudko wskutek ukąszenia przez jadowitą muchę, podczas gdy opodal od rzeźni miejskiej łowił ryby w Sanie. Jad muchy działał tak gwałtownie, że chłopak zmarł po paru godzinach.

(J. K.) **Aresztowanie oszusta emigracyjnego.** Aresztowano we Lwowie agenta emigracyjnego Menkesa z Kamionki Strumiłowej, który sprzedał czterem emigrantom karty okrętowe, zarabiając na tym interesie przeszło 150 Koron. Z emigrantami była jedna dziewczyna, która miała jechać pod ich opieką. Kiedy się zaś dowiedziała, że emigrantom sprzedał Menkes bilety na inną linię aniżeli na tę, którą ona ma jechać, poczęła płakać. Wtedy w tę sprawę wmieszała się policya, odkryła nadużycie Menkesa i uwięziła go. Tak to bardzo często padają emigranci ofiara oszustów emigracyjnych. W sprawach wyjazdu najlepiej udać się do Polskiego Towarzystwa Emigracyjnego w Krakowie, a ono najsumienniej wyśle każdego.

48 godzin za całusy. We Lwowie na jednej z ulic aresztowała policya pomocnika rzeźbiarskiego, Karola Framera, który napadał na przechodzące tamtędy dziewczęta i wycałowywał je. Za to niezwykłe przestępstwo całowania nieznajomych dziewcząt, skazany został Framer na inspekcyi policyjnej na 48-godzinny areszt, który natychmiast rozpoczął odsiadywać.

Zamach na biskupa w Wiedniu. W niedzielę dn 18 b. m., około godz. wpół do 10 rano, biskup sufragan, Dr Pfluger, opuścił pałac arcybiskupi, by udać się do kościoła św. Szczepana na nabożeństwo z okazyi urodzin cesarskich. W pobliżu biskupa postępowały dwie jego siostrzenice, bratanek i służący. Kiedy biskup znajdował się koło zakrystyi, nagle rzucił się w tę stronę jakiś młody chłopak i ugodził biskupa nożem w plecy. Zamach wykonał tak błyskawicznie, że przechodzący w bezpośredniem pobliżu lekarz, nie zdołał już przeszkodzić uderzeniu, jedynie przytrzymał sprawcę i oddał go w ręce policyi. Rannego biskupa przeprowadzono do mieszkania, z pierwszą pomocą pospieszył ów lekarz. Przy opatrunku okazało zię, że rana jest ciężką, ale nie zagraża życiu. Nóż w chwili uderzenia złamał się i część klingi utkwiła w ranie. Lekarz usunął mały ułamek noża i założył opatrunek. Sprawcę sprowadzono do komisaryatu policyi. Początkowo odmówił zeznań, udając głuchoniemego. Z papierów, znalezionych przy nim, stwierdzono, że nazywa się Herman Prinz. Przebywał on dwukrotnie w zakładach dla obłąkanych i obecnie zamachu dokonał w przystępie szaleństwa.

Na Jasnej Górze. Na odpust Wniebowzięcia przybyło do Częstochowy 20.000 pątników. Największa kompania, około 4000 osób, przybyła z Warszawy.

Pożary. Miasto Połock, położone na Litwie w gubernii witebskiej, zostało niemal całe zamienione w perzynę przez szalejący pożar. Spłonęło około 1000 domów; straty wynoszą do 2 milionów rubli. Zgliszcza płonęły jeszcze czwartego dnia. Ogień wszczął się w małym domku drewnianym i podsycany wiatrem ogarnął całe miasto. Wysiłki straży były daremne.

Miasto Dubno na Wołyniu spłonęło. Pastwą płomieni padło sto kilkadziesiąt domów.

Obfite zbiory orzechów. W Poznańskiem orzechy laskowe obrodziły się ogromnie i takiej ich obfitości, jak tego roku, nie pamiętają najstarsi ludzie. Lud wiejski z tego powodu wróży nadzwyczaj ostrą zimę.

Wichura. W Wornianach, w powiecie wileńskim, przed kilku dniami, podczas dorocznego jarmarku, szalał straszny huragan. Siła wiatru była tak wielka, że wszystko kładło się na jego drodze, a lżejsze przedmioty wzlatywały wysoko ponad ziemią. Ludzie, zaskoczeni na ulicach, popadali. Huragan przeszedł pasem szerokości 10 wiorst, niosąc zagładę lasom, które literalnie się kładły (mnóstwo drzew powywracanych z korzeniami). Niepodobna doszukać się licznych stogów siana i pożętego zboża. Domy nietylko pozbyły się dachów, lecz w niektórych miejscach są zupełnie zrujnowane.

Prześladowania pruskie w Danii. Ze Szlezwiku północnego donoszą o następującym wypadku, świadczącym dobitnie, w jak niesprawiedliwy i dokuczliwy sposób postępuje rząd pruski z Duńczykami. Otóż niejaki Jenes Nissen, obywatel duński, otrzymał przed kilku laty nakaz, aby nie przekroczył granicy, gdyż pewnego razu w jakimś północnoszlezwickiem duńskiem towarzystwie gimnastycznem, z powodu choroby nauczyciela, pomógł młodszemu jego zastępcy, który sam sobie rady dać nie mógł. Ponieważ ów Duńczyk w Północnym Szlezwiku kupił był kilkanaście mórg torfowisk, prosił władze pruskie o pozwolenie przewiezienia torfu do swego miejsca zamieszkania w Danii, lecz pozwolenia mu odmówiono. Ponieważ Nissen kilkakrotnie bez pozwolenia przekroczył granicę, aby zajrzeć na swe torfowisko, aresztowano go w końcu przed kilku dniami. Kara spotkała go za to, że postawił nogę na swoim własnym gruncie!

Śmierć z uderzenia w twarz. Gazety niemieckie zwracają uwagę swoich czytelników na fakt, świadczący o niebezpieczeństwie dla życia, wynikającem z niezbyt silnego nawet policzka. Oto do jednego ze szpitali w Monachium w Bawaryi przywieziono młodego człowieka, który podczas bójki otrzymał dwa, czy trzy uderzenia w twarz. Badanie lekarskie wykryło pęknięcie błony usznej i krwotok mózgowy, skutkiem którego pacyent stracił przytomność. W dwa dni po przybyciu do szpitala, pomimo silnych zabiegów lekarskich, chory umarł, nie odzyskawszy przytomności.

Ofiara gór. Wypadek, przypominający żywo śmierć Aldony Szystowskiej w Tatrach, zdarzył się w Alpach bawarskich. Dnia 14 zginął tam również zagadkowo niejaki Karol von Kirchbach z Drezna. I w tym wypadku poszukiwania trwały bezskutecznie przeszło trzy tygodnie. Dopiero dnia 10 b. m. przewodnik alpejski Stuflesser i towarzysz jego, wybrawszy się na poszukiwania z psem policyjnym, znaleźli zwłoki Kirchbacha w przepaści. Kirchbach spadł, jak się okazało, z wysokości 140 metrów i zabił się na miejscu.

Straszny wybuch działa. Na placu strzelniczym w Oerkeny, na Węgrzech, za Budapesztem, nastąpił niedawno temu straszny wybuch działa, który pięciu kanonierów (Niemców) zabił na miejscu, kilku innych zranił niebezpiecznie. Wybuch rozerwał też działo.



Przyczyny strasznego wybuchu dotąd jeszcze nie zbadano. Fachowcy przypuszczają, iż nabój, znajdujący się w lufie armaty, wybuchł samorzutnie, a przyczyną było wadliwe sporządzenie naboju. Nasza rycina przedstawia właśnie ów fatalny moment, który w jednej sekundzie zmiótł ze świata kilku ludzi. Pogrzeb nieszczęsnych ofiar odbył się niezwykle uroczyście — uczestniczyły w nim tysiączne tłumy ludzi.

Gra o milionerkę. Osobliwy zakład wymyśliło trzech paryskich graczy, należących do wyższych klas społecznych. Powód do niego dały wzajemne wynurzenia, z których okazało się, że wszyscy pragnęliby ożenić się z owdowiałą milionerką, panią Astor, której mąż zginął podczas katastrofy na »Titanicu«. Celem rozstrzygnięcia bezstronnego, kto ma z nich starać się o rękę milionerki, zagrano w karty. Szczęśliwemu zwycięzcy dali na drogę 15.000 franków, wymówiwszy sobie nie mniej jak tylko milion na wypadek udałych konkurów. Dziwne w tem wszystkiem to jednak, że ci panowie zapomnieli, iż podobno kto ma szczęście w kartach, zazwyczaj nie ma go w miłości...

Starcie parowca z lodowcem. Parowiec angielski »Corsican« starł się z ogromnym lodowcem na Oceanie Atlantyckim, na linii, po której

kursują okręty między Europą i Ameryką, i doznał poważnych uszkodzeń. Pomimo to ruszył bez pomocy w dalszą drogę. — Tylko dzięki temu, że »Corsican“ płynął wolno i ostrożnie, uniknięto wielkiej katastrofy, która mogłaby dorównać katastrofie »Titanica«.

Burze morskie. Z zachodnich i północnych okolic Francyi nadeszły wiadomości o gwałtownych burzach. Zatonęło przeszło 150 łodzi rybackich. Na północnem wybrzeżu Hiszpanii szalały również gwałtowne burze. Przeszło 200 łodzi rybackich utonęło; wielu ludzi znalazło śmierć w falach morskich.

Ukamieniowanie fabrykanta. Pisma angielskie donoszą o strasznej śmierci jednego z największych fabrykantów Anglii, Johna Aylesbury. Aylesbury niedawno odprawił ze swej ogromnej fabryki sukna trzech robotników, z których zarząd był niezadowolony. Wydaleni robotnicy, wiedząc, że Aylesbury codzień wczesnym rankiem odbywał przejażdżki konne, przyczaili się koło gościńca, za miastem i, gdy nadjechał ich były chlebodawca, obrzucili go ostrymi kamieniami przydrożnymi.



Wierzchowiec fabrykanta spłoszył się i popędził naprzód, jak szalony, jeździec zaś, ugodzony śmiertelnie w skroń kamieniem, padł na gościniec, brocząc w kałuży krwi. Scenę tę widzieli nadjeżdżający ludzie i natychmiast donieśli policyi, która jeszcze tego samego dnia ujęła zbrodniarzy.

Walka dzikich kóz z orłem. Z Zurychu w Szwajcaryi donoszą, że pewien przewodnik w Alpach szwajcarskich przyglądał się z bliska walce dwóch dzikich kóz z orłem. W odległości 30 metrów od niego, stała para kóz z młodemi pomiędzy skałami. Nad niemł szybował potężny orzeł, zataczając wkoło nich coraz węższe krągi. Kozy uciekając, zbiegały na dół ze skały blisko przewodnika alpejskiego. Nagle orzeł spuścił się na nie. Kozy stanęły gotowe do walki. Orzeł uderzał na nie dziobem i skrzydłami. One, usiadłszy na tylnych nogach, uderzały orła rogami. Młode kózki tuliły się przytem do starych, becząc głośno. Walka długo trwała bez rozstrzygającego wyniku. Nareszcie duży kozioł zadał orłowi rogami ranę w piersi i potem go dobił.

Szczęśliwa sierotka. W banku państwowym w Petersburgu, złożono los, na który padła w dniu 14-tym maja wygrana, w sumie 200.000 rb. Los był własnością 8-letniej dziewczynki, sieroty, wychowanej w domu podrzutków w Pskowie. Przy umieszczeniu jej w przytułku los ten wręczono zarządowi, jako jedyną własność sieroty. Kiedy rozeszła się wieść w Pskowie o szczęściu sieroty, natychmiast znalazło się mnóstwo krewnych.

Zemsta konia. W Moskwie zdarzył się następujący wypadek: Pijany dorożkarz, Karnikow, powracając z nocnej jazdy do domu, znęcał się nad koniem, bijąc go nielitościwie. Gdy Karnikow przybył do domu i, wyprzęgnąwszy konia, chciał go wprowadzić do stajni, koń niespodzianie rzucił się na niego. Powaliwszy kopytami swego pana na ziemię, począł zębami gryźć go w prawą rękę. Na wołania dorożkarza zbiegli się sąsiedzi i konia odpędzili, ale dorożkarz został tak zgnieciony, że żyć nie będzie. Oprócz tego koń mu odgryzł zupełnie rękę. Lekarze badali, czy koń nie był wściekły, lecz wścieklizny nie stwierdzono. Koń-mściciel był nadzwyczaj wychudzony i skóra jego była poprzecinana biczem nielitościwego pana.

Trzęsienie ziemi w Dardanelach. Wiadomości, nadchodzące z Konstantynopola, stwierdzają, że trzęsienie ziemi, które nawiedziło wybrzeża morza Marmora i wybrzeża Dardaneli, należy do największych i najgroźniejszych tego rodzaju katastrof, zarówno swoim przebiegiem, jak rozmiarami. Więcej niż trzydzieści miast i wsi zostało całkowicie zniszczonych częściowo przez trzęsienie ziemi, częściowo przez spowodowane trzęsieniem zalewy wodne i pożary. Aż do Adryanopola na północ, do Konstantynopola na wschód rozciąga się teren katastrofy, dotykającej przeważnie zapobiegliwą ludność grecką. Zabitych i rannych liczy się na tysiące, a akcya ratunkowa odbywa się wśród warunków bardzo uciążliwych. Wzdłuż wybrzeży morza Marmora i cieśniny dardanelskiej woda dochodzila niemal do stanu wrzenia, co nie pozwalało okrętom pospieszyć z pomocą wołającej o ratunek ludności. Trzęsienie ziemi rozciągało się aż do granic bułgarskich. Według dotychczasowych obliczeń liczba osób, które zginęły podczas trzęsienia ziemi, dochodzi cyfry 1200. Prawdopodobnie jednak cyfra ta okaże się znacznie większą. Bez dachu nad głową pozostaje 50.000 ludzi. Wstrząśnienia ziemi w miejscowościach nawiedzonych katastrofą, trwały przez szereg dni. Góry pobliskie miały się obniżyć. Na jednej z gór powstał krater, z którego wybucha dym. W Muriosito na godzinę przed trzęsieniem ziemi usłyszano huk wybuchu. Pod gruzami znajdują się jeszcze zwłoki ofiar. Zachodzi obawa, że z powodu rozkładu zwłok wynikną choroby.

Religia japońska a cesarz. Z pomiędzy jedenastu »wielkich« świąt Japonii, dziewięć jest przeznaczonych uroczystościom ku czci cesarskich przodków; dalsze dwa wypadają w nowy rok i na dzień urodzin cesarza. W czasie tych świąt powiewają ze wszystkich domów japońskich chorągwie o barwach narodowych; dzieci zgromadzają się w szkołach, gdzie przed portretami cesarza i cesarzowej odczytują im nauczyciele mowę cesarza Mutsuhito o wychowaniu. Do uroczystości, złączonych z obrzędami religijnymi Japończyków, należy wędrówka do świątyni w Ise. — Uświęcił ją zmarły cesarz Mutsuhito przed paru laty, udając się do świętych grobowców świątyni, by złożyć podziękowanie za zwycięskie zakończenie wojny z Rosyą. Przybycie cesarza wywołało w małej mieścinie wrażenie niezwykłe; wszystkie większe domy przygotowano z przepychem w nadziei, że monarcha zechce któryś z nich wybrać na czas swego pobytu. Mieszkańców spotkał jednak zawód: cesarz zamieszkał maleńki domek w ubogiej dzielnicy i wydał nakaz, by nikt w czasie jego pobytu w miasteczku nie odrywał się od codziennych zajęć. Rozkaz przyjęto z żalem o tyle, że według wierzeń ludu japońskiego, pozostawanie w bezpośredniej styczności z cesarzem, uświęca i zsyła błogosławieństwo.

Straszna katastrofa kolejowa. Z Nowego Jorku donoszą, że na centralnym dworcu w Rio Janeiro wydarzyła się straszna katastrofa. Zderzyły się dwa pociągi osobowe. Wydobyto z pod gruzów około 200 trupów.

Skutki złych książek. Że czytanie książek, podniecających wyobraźnię w kierunku niezdrowym, może i dorosłego człowieka sprowadzić na złą drogę, tego dowodem fakt, jaki zaszedł w Chicago. Jacob Guthrie, syn zamożnej i szanowanej rodziny tamtejszej, chemik skończony, zajmował dobre stanowisko. Rozmiłowany jednak w czytaniu romansów kryminalnych i policyjnych, tak zaprzątnął sobie głowę, że postanowił naśladować ich bohaterów. Przed kilku miesiącami zaczęły napływać do policyi chicagowskiej wiadomości o znacznych kradzieżach klejnotów, obrazów i dzieł sztuki w domach milionerów tamtejszych. Kradzieże te dokonywane były tak zręcznie, że jakkolwiek wartość przedmiotów skradzionych doszła w końcu do kilkuset tysięcy dolarów, sprawcy ich policya odkryć nie mogła. A złodziejem tym zręcznym był Guthrie. Z początku kradł tylko kosztowności, nie ruszając gotówki. Na widok tego łupu Guthrie nie mógł się oprzeć chęci spróbowania zdolności w kierunku fałszowania podpisów. Okazało się, że i pod tym względem jest mistrzem, za sfałszowanemi bowiem czekami właścicielki książki czekowej podniósł ogółem z banku 15.000 dolarów. Operacye jednak z fałszywemi czekami zgubiły Guthriego. Idąc po nitce do kłębka, policya wyśledziła w końcu fałszerza. W chwili, gdy miano go aresztować, Guthrie usiłował połknąć kawałek papieru, ale zdołano temu przeszkodzić. Ocalona kartka okazała się kwitem z opłaty komornego za pewną szopę. Udawszy się tam, policya znalazła w kilku wielkich kufrach wszystkie kosztowności i dzieła sztuki. skradzione przez Guthriego w domach milionerów. Złodziej nic z nich nie sprzedał, działał więc wprost z amatorstwa.

Sztuki fakira. Fakirami w Indyach, w Azyi, nazywają się mnisi wędrowni muzułmańscy i pogańscy. Największą sławą cieszą się tak zwani fakirowie pokutnicy. Posiadają różne tajemnice przyrody, zadziwiające i wprost nie do uwierzenia dla zwykłych ludzi. Zdolność znieczulania ciała umożliwia fakirom indyjskim popisy sztuk iście niepojętych.



W Colombo, w stolicy wyspy Cejlonu, fakir Abdur Ramag popisywał się wobec zebranego tłumu snem na bagnetach. Kazał się położyć na sześciu wbitych w ziemię karabinach z bagnetami i wyprężywszy ciało, spoczywał przez kilkanaście minut w tej pozycyi. Obrazek nasz przedstawia tę osobliwą sztukę.

Niegodziwa reklama amerykańska. Niedawno stracono w Nowym Jorku za pomocą elektryczności równocześnie jednego murzyna i sześciu Włochów, którzy w sposób okrutny zamordowali gospodynię domu. Po wykonaniu wyroku pewna wędrowna buda kupiła ciała straconych i dla reklamy wystawiła je na widok publiczny za opłatą wstępów. Wdały się w to jednak władze Stanów Zjednoczonych, odebrały i pogrzebały zwłoki.

Piękne i brzydkie. Z Nowego Jorku donoszą, że w jednej z fabryk, zatrudniających przeszło 120 dziewcząt, wybuchł strajk na niezwykłem tle. Jak to bywa wszędzie, tak i w owej fabryce część pracownic chlubiła się urodą, podczas gdy druga była pod względem tym upośledzoną przez Stwórcę. Właściciel fabryki, a z nim i jego dyrektorzy, kierownicy, majstrowie, w sposób rażący wyróżniali — urodną połowę pracownic. Ładne dziewczyny, otrzymywały pracę lżejszą, lepsze pomieszczenie — słowem na każdym kroku wszystko im ułatwiano. Skromne a brzydkie dziewczęta znosiły cierpliwie to poniżenie. Pracowały z zaparciem się — każda za dwie — w warunkach nieraz najgorszych. — Wreszcie przebrała się miarka cierpliwości: postanowiły zażądać równych praw. Lecz nie zwróciły się z żądaniem swem do właściciela ani do dyrektorów. Z żalami wystąpiły przed szczęśliwemi koleżankami- »Jesteście piękne — to prawda — oświadczyły brzydkie ładniejszym — lecz dlaczegóż piękność wasza ma być powodem naszej krzywdy? Widzicie co się dzieje, a czyż sumienia wasze pozwalają wam obojętnie patrzeć na niesprawiedliwość?« I stała się rzecz niezwykła: »Rozpoczynamy strajk, dopóki nie zostaną spełnione wasze słuszne żądania:« — zawołały solidarnie »piękne«. Strajk 120 dziewcząt nie trwał jednakże długo. Zarząd fabryki rychło ustąpił przed solidarnością pięknych i brzydkich, i odtąd dziewczęta pracują na równi szczęśliwe...

Odpowiedzi Redakcyi.

Redakcya nie przyjmuje listów nieopłaconych i poczta odsyła je z powrotem.

PP.: Stanisław Brożek z B.: W polemikę z innemi pismami z zasady nie wdajemy się, dlatego pisma Pańskiego nie zamieszczamy. P. M. jest zbyt poważnym posłem, aby mogły go dotknąc jakiekolwiek niesłuszne zaczepki. — W. Pasierb: Z prac Pańskich zawsze chętnie korzystamy. Dziękujemy za pamięć. — Franciszek Adamski w B.: Ujął nas za serce miły liścik Szan. Pana. Szczerze jesteśmy radzi, że tak serdeczne nici sympatyi zawiązały się między »Rola« a jej czytelnikami. Umieścimy chętnie, jeśli rzecz będzie dla nas odpowiednia. — Adam Jesionek: Bardzo dziękujemy. — J. Jarmuła: Otrzymaliśmy — dziękujemy. — Andrzej Wróbel: W przygotowywaniu dalszych numerów i na Pańskie prace przyjdzie kolej.

Potwierdzenia prenumeraty.

Wawrzyniec Tyczyński z S. 4 K. — Józef Gajdeczek z N. 4 K. Michał Łężniak z G. 2 K. — Jan Śnieg z S. 3 K. — Kazimierz Wyka z K. 2 K. — Ant. Zając z S. 3 K. — Marya Dobrowolska z W. 2 K. — Bronisław Łukasik z M. 2 K. — Jan Gruszczyński z R. 2 K. — Kazimierz Kurek z H. 2 K. — Antoni Jarosz z W. 2 K. — Jan Holesz z N. 1·70 K. — Jan Gil z N. 1·50 K. — Fr. Kalęba z M. 2 K. — Józef Maziarz z Z. 1 K. — Jan Nowak z W. 2 K. — Sebastyan Kościelniak z Ol. 2 K. — Ząbek, wójt z P. 2 K. — Grzegorz Trzyna z H. 2 K. — Leginowicz Michał z M. 2 K. Michał Kotowicz z K. 1 K.

Ceny zboża na targu Kleparskim w Krakowie w d. 20 sierpnia:

Pszenica	Kor.	10·55	do	10·85	za 50 kg.
Żyto	„	9·05	„	9·60	„
Jęczmień	„	8.25	„	8·50	„
Owies	„	9·—	„	9·50	„
Otręby pszenne	„	7·—	„	7·10	„
Otręby żytnie	„	6·75	„	7·—	„

Ceny bydła na targowicy krakowskiej w dniu 20 sierpnia:

Buhaje	Kor.	180	do	320	za sztukę
Woły	„	280	„	370	„
Krowy	„	160	„	300	„
Jałówki	„	120	„	240	„
Cielęta	„	32	„	60	„
Owce i kozy	„	—	„	—	„
Świnie błta waga)	-	160	-	176	za 50 kg.

Zagadki do nagrody.

1. TRÓJKĄT MAGICZNY.

(Ułożyl S. Stolarzewicz).

— — — — — — —
— — — — — —
— — — — —
— — — —
— — —
— —
—

Kreski zastąpić literami, aby utworzyły szereg wyrazów, mających w kierunku poziomym i pionowym to samo znaczenie.

Znaczenie wyrazów: 1) Miasto w Portugalii. 2) Utwór epicki. 3) Ptak z rzędu wróblowatych. 4) Inaczej kobieta. 5) Rodzaj poezyi. 6) Przyimek. 7) Samogłoska.

2. ZAGADKA.

(Ułożył Wojciech Szocik).

Nie w salonach, lecz pod strzechą,
Lub nad brzegiem masz ruczaju,
Znajdziesz w polu, czasem w gaju
I powitasz ją z pociechą.
Mała pragnie mieć pachole,
Szuka większej po kościele,
A oswaja się z nią w szkole.
Ten, co w życiu zdziała wiele
I dobiegnie kresu z chwałą,
Z »s« ją zyska — wyjdzie cało.

3. ZAGADKA

(Ułożył Fr. Ludkowski).

Wprost jam wielki pan,
Wstecz w wodzie pływam.

4. SZARADA.

(Ułożył Zygmunt B.).

Pierwsze i pół drugiego znajdziecie na poczcie,
Drugie i trzecie to półwysep w Rosyi,
Trzecie i czwarte znajduje się w sklepie,
Trzecie i pół drugiego służy do lepienia.
Całość to rzecz do jedzenia.

5. PRZESTAWIANKA.

O, cą, bo, ścią, ga, się, lu, szczę, pra, i, dno, cą, dzie.

Z powyżej podanych zgłosek ułożyć znane polskie przysłowie.

6. TAJEMNICZY BILET.

(Ułożył Antoni Dutkiewicz z S. S.).

Idy Renedlan

Odgadnąć kraj, w którym ta osoba mieszka.

7. SZARADA.

Drugie i pierwsze bronią się mianuje,
Samo trzecie wspak ptak wykonuje.
Całość istniała u Rzymian w stolicy,
Co to za wyraz, mili czytelnicy?

Za dobre rozwiązanie wszystkich zagadek przeznaczamy do wylosowania, jak zwykle, dwie oprawne książki.

Rozwiązania może nadsyłać każdy, nagrodę może wylosować tylko prenumerator *Roli*. Termin do 24 sierpnia 1912 r. Adres: **Redakcya *Roli*, Kraków, ulica św. Tomasza l. 32.**

Znaczenie zagadek z numeru 32 »Roli«: 1. Tajemniczy bilet: **Hercegowina.** 2. Szarada: **Lewkonie,** 3. Zagadka: **Radłów.** 4 Szarada: **Kosa, osa, kos.** 5. Zagadka: **Echo.** 6. Łamigłówka: **Gdzie ręce i ochota, tam skora robota.** 7. Szarada: **Jaszczurka.**

W oznaczonym czasie dobre rozwiązania nadesłali PP.: Rosiek Bartłomiej z B., Teper Franc. z M. K., Józef Grania z Ż., Karol Pająk z Z., Koło Macierzy szk. z S., Wł. Wołowiec z S., Wojciech Ciesielka z K., Józefa Hirszberg z K., A. Warchoł z Z., Jaś Pasek Błotnicki z D., Andrzej Martinek z K., M. Dudek z Z., K Kurowski z H., A. Bezokówna z K. m., A. Zieliński z M. z., Jan Sabramowicz z S., M. Dziatkowiec z R., Fr Siekaniec z D., P. Komórczyk z S. W., J. Adamczyk z S. W., Kołatek J., Sioło W. z K., A. Kucharczyk z P., J. Waszek z J., J. Walatek z R., W. Piekarczyk z S., St. Kumięga z T, Fr. Koutnik z T., Cwynar Fr. z Cz., L. Dobrzańska, W. Czarnotówna z S. W., J. Bylicki z K. (wierszem), A. Tomana z P., J. Midowicz z S., K. Baron z P., J. A. Byłów z M., K. Drzewicki (wierszem), J. Małkowicz z G. (wierszem), W. Pasierb (wierszem), W. Flis z L. G.

Pierwszą nagrodę p. t. ***Historya odkryć geograficznych*** wylosowała p. **Adela Bezokówna** z K. m., zaś drugą p. t. ***Chudziak*** p. **Józef Waszek** z J.

Wydawca: Stanisław Kopernicki. **Odpowiedzialny Redaktor: Antoni St. Bassara**

Drukarnia „Czasu“ w Krakowie pod zarządem Aleksandra Świerzyńskiego.